

Przyjaciółka

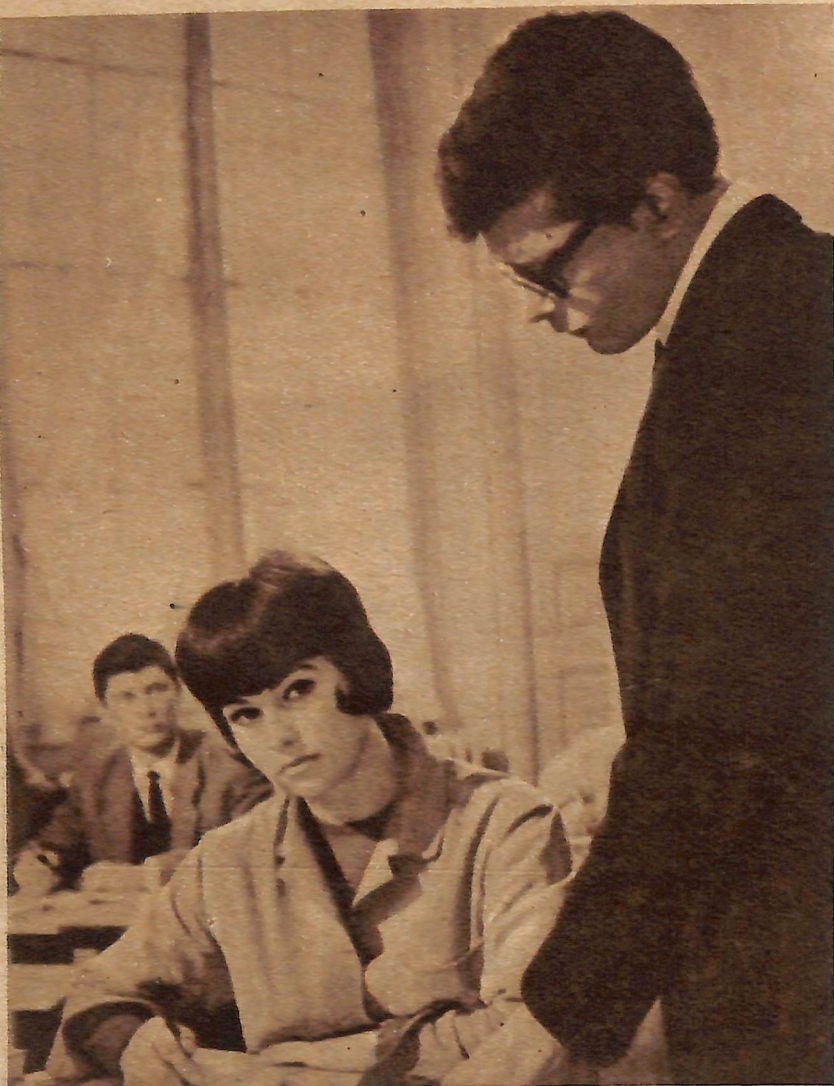
TYGODNIK



foto. J. Bułhak

W ogrodzie Saskim zimą

Nr 2 (773) Cena 1 zł 13.I.1963 r.



Młody nauczyciel języka angielskiego cieszy się ogromnym powodzeniem wśród uczennic

OPOWIEŚĆ FILMOWA UPROWADZENIE

Ze wszystkich rodzajów przestępstw jedno wydaje mi się najbardziej odrażające — porwanie dziecka, czyli tzw. z angielska — kidnaping. Jest coś ohydneho w spekulowaniu na najszlachetniejszym uczuciu ludzkim — na miłości do dziecka. Wszystkie tego rodzaju wypadki wstrząsają głęboko opinią światową. Ostatnio głośno było o porwaniu we Francji dziecka znanego fabrykanta samochodów Peugeot'a. Ech, tej afery jest włosko-francuski film pt. „Urowadzenie”.

Chociaż „Urowadzenie” ma wszelkie cechy dobrego „kryminału”, w istocie rzeczy jest to wnikliwe studium psychologiczne. Bohater filmu młody nauczyciel angielskiego zaczytuje się w pamiętnikach generałów, z wojskową precyzją ustala swoje plany, a o dwóch swoich pomocnicach mówi pół-żartem, pół-serio „moje armie”.

Ten „potwór” (jak określa go jedna z kobiet) jest całkowicie amoralny, powoduje się chorobliwą ambicją, wierzy tylko w swoją inteligencję i umiejętność logicznego myślenia.

Wszystkie stany uczuciowe, oceny moralne określa krótko jako głupotę. Nawet w obliczu klęski, już zakuty w kajdanki twierdzi, że jeżeli

czegoś mu żal, to tego, „że jeszcze raz triumfuje głupota”. Tymczasem film reżysera Lattuada pokazuje jasno i dobitnie, że klęskę swoją zawdzięcza bohater bynajmniej nie „głupocie”, lecz nieznajomości psychiki, nie uznawaniu żadnych praw ludzkich i uczuć, które ludźmi rządzą.

Niewątpliwie tym „przestępstwami” twórcy filmu zresztą postępują w „Urowadzeniu” przykuwają straszno-



Francuzka i Włoch — czyli Anouk Aimée i T. głównych

SREBRNY KRAJ

Przed dwoma wiekami Argentyna zwala się Vicekrólestwem La Plata i należała do Hiszpanii. „La Plata” jest to nazwa olbrzymiej rzeki i znaczy po hiszpańsku „pieniądz”, „srebro”. Ta srebrna rzeka, nad którą leży stolica kraju, to właściwie rzeka-morze, ciągnąca się kilometrami i szeroka tak bardzo, że statek potrzebuje kilkunastu godzin, by z Oceanu Atlantyckiego przypłynąć do portu Buenos Aires. Od tej też rzeki wziął nazwę cały kraj, wyzwolony od panowania Hiszpanów sto pięćdziesiąt lat temu, przybierając nazwę łacińską „argentina” — srebrna.

Szandar Argentyny jest białoniebieski i takie same kolory, mające symbolizować niebo bez chmur, są w jej herbie, przedstawiającym dwie dłonie, złożone w uścisku na znak braterstwa. W Argentynie spotkać można Chińczyków, Murzynów, Indian, Polaków, Włochów, Hiszpanów, Anglików. Autochtonami tej ziemi są Indianie, którzy ongiś zażarcie bronili swej wolności. Dziś spotyka się ich w dużych skupiskach tylko na peryferiach kraju, szczególnie w Patagonii. Żyje tam szczep Araukanów, zwanych się w swym języku Mapuche, co znaczy „Ludzie tej ziemi” (Mapu — ziemia, che — ludzie). Patagonia jest krainą skał, puszczy, zwanych selvami, grot, wykopalisk, w których znaleźć można szkielety prehistorycznych zwierząt — i ojczyzn Indian, żyjących na zupełnej swobodzie i rządzących się własnymi prawami. Mają oni ciekawe wierzenia i zwyczaje, z których liczne zachowały się w całej Argentynie. Nawet w Buenos Aires spotkać można przejęte od Indian kult ognia i święto ognia, obchodzone — co najdziwniejsze — w dzień św. Jana, co wskazuje na jakieś pradawne związki ze... słowiańskimi sobótkami.

Buenos Aires jest wielkim miastem, liczącym 6 milionów mieszkańców i nazwa jego znaczy „dobre powietrze”, co jest prawdziwą ironią, gdyż klimat jest tu parny, duszny i latem staje się nie do zniesienia. Lecz właśnie nazwa miasta ma z tym związek, gdyż pierwsi hiszpańscy koloniści, którzy dobili do argentyńskich brzegów, przerażeni ciężkim powietrzem, wykrzyknęli: „Santa Maria, da Buenos Aires!” — „Święta Maria, daj dobre powietrze” — i tak już to „dobre powietrze” zostało.

W Buenos Aires jest wiele naprawdę pięknych gmachów, jak Kongres czy Katedra, wiele ogrodów i pomników. Sławne są ogrody Palermo, które osiemdziesiąt lat temu projektował



Piękny widok gór Andów

Polak, uchodzący po powstaniu styczniowym, architekt Czesław Jordan Wysocki. Ma tu swój pomnik Chopin, szczególnie kochany przez Argentyńczyków. Polacy mają w historii Argentyny bardzo ładną kartę, lecz jest to już osobny i zbyt obszerny temat. O Argentynie można snuć wiele opowieści, tak dużo jest tu spraw ciekawych, że wprost nie wiadomo o czym wypierw mówić. Trudno pominąć „asado criollo” i „yerba mate”. Asado jest to w zasadzie pieczeń, mięso z rożna lub rusztu, krwiste i lekko tylko podpieczone, które stanowi podstawę pożywienia Argentyńczyków — lecz nazwą tą objęte jest jeszcze przyjęcie, zabawa, zgromadzenie, uroczystość towarzyska. „Urządzamy asado” mówi się tutaj i wtedy wiadomo, że można się wybrać na cały dzień, bawić się, jeść mięso (polewane sosem Chmichuri, co czyta się czimichuri, prawda, jak miło?), popijając „vino

tinto” — czerwonym winem. Najpopularniejsze jest wino „Quebracho” od nazwy pięknego, argentyńskiego drzewa o czerwonym kolorze i o twardości tak niebywale, że do pilowania go trzeba specjalnych pil. A „Yerba mate”? O, to długa historia. Prawie legenda i baśń. Ale wszystkiego i tak dziś nie napiszę, więc krótko powiem, że jest to zielona herbata, bez której Argentyńczycy nie mogą żyć, lekki narkotyk, lekarstwo, czasem „lubczyk” nawet. Argentyńczycy tak to lubią, że muszą „yerbę” pić ledwie otworzą oczy, później często w pracy ją popijają, jednym słowem zawsze. Raz ożywia ich ona, raz rozleniwia. Tak więc wygląda Argentyna na pierwszy rzut oka. Piękny, srebrny kraj nad srebrną rzeką, kraj legend, tajemnic, wykopalisk. świadectw dalekiego czasu.

Józefa Radzimińska



Józefę P. znam nie od dziś. Kiedyś, dawnymi laty spotykałam ją prawie co piątek, gdy przyjeżdżała po zakupy na targ do powiatowego miasta. Często też wówczas bywałam w Brzezince, niewielkiej podmiejskiej wsi, gdzie mieszkała Józefa. Zawsze starałam się znaleźć chwilę czasu, aby odwiedzić ją i pogadać. Należała do tych kobiet, które choć zapracowane, potrafią zadbać o ład w mieszkaniu, o ładne otoczenie domu, potrafią w nim stworzyć ciepłą, przyjazną atmosferę. Jej dzieci, dwie pizaty, z liliowymi warkoczyczkami dziewczynki, były – dobrze to pamiętam – mniej hałaśliwe i krzykliwie, niż dzieci sąsiadów. Były też zawsze czyste i starannie ubrane. O Józefie mówiono we wsi, że takiej matki i gospodyni ze świecą szukać.

I oto los zdarzył, że po latach czternastu znalazłam się w S. Wysiadając na stacji PKS z autobusu spoglądałam na rozkład jazdy. Wymieniona w nim była i Brzezinka. Co za zmiany! Ile autobusów w tym kierunku! A może by tak wsiąść i odwiedzić starych znajomych?

Pokusa była silna. Pojechałam.

*

JUŻ w sionce dosłyszałam podniesione głosy. A gdy weszłam do izby, niemiłosiernie było się zorientować, że trafiałam na kłótnię. Dwie kobiety najwidoczniej o coś się sprzeczały i urwały w pół słowa na skrzyp otwieranych drzwi. Józefa poznałam od razu, uściskałyśmy się serdecznie, a gdy zwróciłam się z powitaniem do drugiej kobiety, powiedziała:

– A to Zosia, już mężatka. Ja jestem, wie pani, babka.

Zosia, młodsza z puciołowatych ongiś dziewczynek, podała mi rękę i mruknawszy coś na temat obrządku wyszła z kuchni. Zostałyśmy same. Usiadłyśmy przy stole i rozpoczęła się rozmowa o obecnych i minionych czasach. Dowiedziałam się, że Wiesia, druga córka Józefy, skończyła liceum pedagogiczne i pracuje jako nauczycielka daleko od rodzinnej wioski. Tu na gospodarce została Józefa z Zosią i zięciem.

– Ale taka tam i gospodarka – krzywi się Józefa. – Niedobrze jak są dwie gospodynie w jednym obejściu. Trudno ład udożyć, młodzi chcą po swojemu, a w gospodarstwie trzeba wszystko robić ostrożnie, z namysłem...

Józefa milknie, a po chwili dorzuca z goryczą:

– Czy to ja złą gospodynią jestem? Nie dbam o inwentarz, o dom? A Zosia ciągle mi docina. – Co tam mama wie, dziś nie te czasy. – Ot, choćby i teraz, właśnie jak pani weszła, irytowała się, że światła w oborze, gdzie kury mają wydzielony

kat, nie zapaliłam. A światło niemało kosztuje i każdy grosz trzeba liczyć, żeby na wszystko starczyło. A ona powiada, że od tego światła kury będą się lepiej nosić.

– A pamięta pani – ożywiła się – jakie to ja piękne kury chowałam? Nagrody dostawałam za nie. I nosiły się dobrze, choć im nie świeciłam i nie miałam specjalnych kurników.

Pamiętałam. Józefa była pierwszą bodajże gospodynią we wsi, która kupiła pisklęta z zakładu wylęgowego. Ileż to było wówczas gadania!

Józefa wspomina różne kursy, w których brała udział, przetwory jakie robiła – a Zosia, może pani zajrzeć do spiżarni – ma same kupne stoiki z dzemami. Powiada, że nie warto tracić czasu i opału na robienie ich w domu. Pieniądz to u niej w rękę się nie utrzyma – ciągle by coś kupowała.



rys. A. Święcicka

Szafa pełna sukienek. Nie żałuję i ja na ubranie, człowiek powinien ubrać się przyzwoicie. Ale tyle szmatek! Po co i na co? I lalawica z niej straszna. Ciągłe gdzieś poza domem, a podłogi w sobotę nie ma czasu uszorować.

Rozmowa cichnie, bo oto słychać skrzyp drzwi do sieni. Ktoś obija się tam po ciemku, wyciąga jakieś konwie czy wiadra.

– Zoska, to ty? – woła Józefa.

– Ja, mamu.

– Czemu nie wejdziesz?

– Palta zdejmować nie będę – mówi Zoska i wreszcie staje w uchylonych drzwiach, widąc ośnieżone buty i twarz zaczerwienioną na mrozie.

– Znowu gdzieś lecis – chmurzy się matka.

– Mama nie wie? Na autobus, po Józka polece.

– Raz chociaż z tego pożytek, odprowadzisz panią. Po ciemku nietatwo trafić.

– A chętnie.

Przy pożegnaniu Józefa nie może oszczędzić sobie uwagi: – Dwie gospodynie i chłop w domu, a drzwi skrzypią. Nasmarować nie ma komu.

Na podwórzu spotykamy wracającego z sankami małego Wojtka. – Do domu – krzyczy na syna Zoska – a buty zdejmij w sieni.

Zanurzamy się w mrok, po chrząszczącym śniegu maszerujemy do szosy.

– Zdrowy chłopak, prawda? – szczerze chwali Wojtka. – Przyjemnie popatrzeć na takie dziecko.

– Nie zawsze tak było – odpowiada Zoska. – W niemowlęctwie sporo chorował. Ale go pilnuję. Do ośrodnika zdrowia regularnie z nim chodzę. I jakos chwala Bogu się chowa. Ale mama wydziwiał, że bez potrzeby zwracam lekarzowi głowę.

Milczę. Bo co tu powiedzieć? Ale widać że Zoska nabrzmiała i chce koniecznie mówić o swoich kłopotach.

– Zresztą nie tylko to jej się nie podoba. Niby to my z mężem jesteśmy gospodarzami, a właściwie czy to możemy sami o czymś decydować? Ot, choćby z tym kurnikiem. Każdy kto trochę kalkulować potrafi wie, że opłaca się chować kury, ale trzeba dać im warunki. A nie było gdzie. Chciałabym wziąć w tym roku choć setkę kurcząt i gdzie je będę trzymać? W kojcu, w oborze? A mama: – zamiast kurnika – gruntu lepiej dokupić. Sąsiad ma taką w sam raz działkę, która wyrównałaby granicę. A po co nam ten grunt, kiedy daleko nam jeszcze do tego, byśmy ze swojego wyciągnęli tyle, ile można.

Skreślamy ku szosie i Zoska milknie, bo wiatr mroźny i porwany sypie drobny, śnieżny pył w oczy, nos i usta. Między zagrodami zacisznie, więc można mówić.

– Pani wie, większa awantura niż o kurnik była o ogrodzenie. Co się Józek najeździł, co naszukał, żeby kupić siatkę z małymi oczkami. A mama – Jezus, Maria – i po co taki wydatek. Pieniądze na zmarnowanie dajecie, jakby wam lekko przychodziły. Tłumaczyłam – mamu, jak się nie ogrodzi, to kury wszystkie wazrywa rozdrapią. A mama na to: – leniwa jesteś i tyle. A pewno, mama co pół godziny od garnków i inwentarza do ogrodu biegła kury wyganiać. Mnie tam czasu i siły na to szkoda. A w ogóle mama swoich sił nie szanuje.

– Przepraszam panią, chwilczkę – i Zoska podbiegła do przechodzącej drogą kobiety. Sekundę pogadały i...

– To u niej dzisiaj byłam. A mama zła, że ja po wsi latam, choć przecież sobota. Żeby nie pani, to by mnie nawet na autobus nie puściła, a sama nie pamięta jak ojciec krzychał, gdy na zebranie czy na próbę szła. Ile to razy po kryjomu przed nim wychodziła! Na mnie mąż nie krzyczy, ale za to matka. Już widać tak musi być. Teraz trochę się boję, co powie, jak Józek przyjedzie?

– Dlaczego?

– A bo widzi pani, radio miał kupić. Głośnik mamy, a chcieliśmy takie prawdziwe, z adapterem. Forsy nie starczyło, więc Józek ma kupić tańsze, w każdym razie będzie można słuchać takiej audycji, na jaką ma się ochotę. Ale co mama na to powie?

Zoska jest trochę rozbawiona, ale w jej głosie brzmi i niepokój i troska.

*

ROZKLEKOTANY autobus wiezie mnie do miasta. Reflektory wydobywają z mroku ośnieżone drzewa, dachy, opłotki. Ale ich nie podziwiam. Myślę zupełnie o czym innym. W drzwiach autobusu minęłam się z Józkiem. Pod pachą dzwigał wielkie, kartonowe pudło. – Mój Boże! Jaki to będzie dzisiejszy wieczór u moich przyjaciół! Kłótnia, dąsy, gorycz, po co? Przecież i Józefa i Zoska to dobre, serdecznie sobie życzące kobiety. Obie, choć każda inaczej, są zapobiegliwymi gospodyniami. Racja jest po obu stronach, bo doświadczenie jednej i pęd do ulepszeń i nowości drugiej, powinny przynieść postęp w gospodarstwie. A o to przecież chodzi. Trzeba się tylko „dogadać“.

ZET-KA

Warszawa

Choćbyś morzem żeglował,
choćbyś łądem wędrował,
nie wiem jaką krainą
ciekawą –

ona wezwie cię dłońmi,
sen ją w nocy przypomni
i jak dziecko zawołasz:
Warszawo!

A niech zerknie, mój bracie,
księżyc na Mariensztacie
albo liść zawiruje
złotawy –

niech wiatr dmuchnie od rzeki,
a już jesteś na wski
zakochany w urodzie
Warszawy.

Bo to ona, wciąż ona,
tarcza niewyciężona,
promieniami okryta
i sława.

Myśli nasze wciąż o niej.
Serca nasze wciąż do niej.
Wszystko dla niej. Dla ciebie,
Warszawo!

KONSTANTY ILDEFONS
GAŁCZYŃSKI

Błękitny karbunkuł

(Dokończenie z poprzedniego n-ru)

W Londynie, podczas bójki ulicznej, jeden z mężczyzn gubił się i kapelusz. Znalazca przynosi zgubione rzeczy do detektywa Holmesa. W gęsi znajduje się wspaniały brylant. Holmes daje ogłoszenie, na skutek którego pojawia się właściciel gęsi i kapelusza.

Z rozmowy wynika, że nie wie on nic o brylancie.

— Tak, i uważam, że nikomu z tego powodu nie stała się krzywda. Przypuszczam, że ta druga gęś, która leży na kredensie, tak samo świeża i ciężka jak tamta, równie dobrze będzie odpowiadała swemu przeznaczeniu.

— Ależ oczywiście, tak! — odpowiedział przybyły z westchnieniem ulgi.

— Tu jest pański kapelusz, a tu gęś. Przy okazji czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie pan nabył tamtego ptaka? Przepadam za drobiem, a rzadko widziałem równie dorodny okaz.

Ależ bardzo proszę — powiedział Baker, który właśnie włożył pod pachę odzyskaną własność. — Ja i kilku przyjaciół bywamy często w gospodzie „Alfa” koło Muzeum, gdzie pracujemy cały dzień. Tego roku nasz miły gospodarz założył gęsi klub; każdy członek tego klubu wpłacając co tydzień parę pensów miał dostać na Boże Narodzenie gęś. Ja pilnie płaciłem składkę, a resztę pan zna. — Z komiczną pompatycznością ukłonił się nam i wyszedł.

— Tyle co do pana Henryka Baker — powiedział Holmes, gdy drzwi się za nimi zamknęły. — Jedno jest pewne, że nie wie o tej sprawie. Czy jesteś głodny, Watsonie?

— Nie bardzo.

— Proponuję więc, żebyśmy nasz obiad zamienili na kolację i ruszyli za tropem, dopóki jest jeszcze świeży.

— A więc chodźmy.

Noc była zimna. Włożyliśmy ciepłe palta, a szyje owinięliśmy szalikami. Na dworze na bezchmurnym niebie świeciły zimno gwiazdy, a kłęby pary wydychanej przez przechodniów podobne były do dymu po salwie pistoletowej. Po kwadransie byliśmy w Bloomsbury przed gospodą „Alfa”, która była niewielką piwiarnią na rogu jednej z ulic prowadzących do Holborn. Holmes pchnął drzwi i zamówił u rudawego gospodarza w białym fartuchu dwa kufle piwa.

— Pańskie piwo powinno być równie znakomite jak gęsi — odezwał się mój przyjaciel.

— Gęsi? — spytał zdumiony gospodarz.

— Tak, niecałe pół godziny temu rozmawiałem z panem Henrykiem Baker, który był członkiem pańskiego klubu gęsiowego.

— Tak, teraz to rozumiem, ale widzi pan, to nie były nasze gęsi.

— Czyżby więc?

— Dwa tuziny ich kupiłem u handlarza na rynku Covent Garden.

— Znam ich tam kilku, u którego?

— U Breckenridge’a.

— Tego akurat nie znam. A teraz życzę panu dobrego zdrowia i pomyślności dla całego domu. Dobranoc.

— Idziemy do Breckenridge’a — powiedział Holmes zapinając płaszcz, gdy wyszliśmy na mroź. — Pamiętaj, Watsonie, że choć na jednym końcu tego łańcucha mamy tak prozaiczne stworzenie jak gęś, na drugim znajduje się człowiek, który na pewno dostanie siedem lat ciężkich robót, jeżeli nie uda się dowiedzieć jego niewinności. Być może nasze śledztwo potwierdzi tylko jego winę, ale w każdym razie znaleźliśmy trop, który uszedł uwagi policji, a dziwnym zbiegiem okoliczności nam się nawinął. Idźmy teraz jego śladem aż do końca.

Minęliśmy Holborn, Endell Street i zygziem slumsów *) doszliśmy do targu Covent Garden. Nad jednym z większych straganów wisiał szyld z nazwiskiem Breckenridge, a sam właściciel, z twarzy podobny do konia, pomagał właśnie chłopcu zakładać deski.

— Dobry wieczór — ale dziś zimno — powiedział Holmes.

Kupiec przytaknął i spojrzał pytająco na mego towarzysza.

*) Slums (ang.) — londyńskie siedliska nędzy.

— Już pan sprzedał wszystkie gęsi? — spytał Holmes wskazując na puste lady.

— Jutro rano mogę panu dostarczyć choćby pięćset sztuk.

— Nic mi z tego.

— Jeszcze mają kilka w sklepie z gazowym oświetleniem.

— Ale mnie polecono pana.

— A kto?

— Właściciel „Alfy”.

— A tak, niedawno posłałem mu dwa tuziny.

— Piękne ptaki. Gdzie je pan nabył?

Ku memu zdumieniu pytanie to wywołało wybuch gniewu kupca.

— Kiedy płacę dobrze za dobry towar, to sprawa powinna się na tym skończyć, ale jak się ciągle słyszy to trajkotanie: „Gdzie te gęsi?” i „Komu je pan sprzedał?” i „Ile pan wziął za te gęsi?”, to można pomyśleć, że innych nie ma na świecie.

— Nie mam nic wspólnego z tymi, którzy pana wypytawali — powiedział Holmes od niechcenia. — Jeżeli pan nam nie powie, po prostu pewien zakład nie dojdzie do skutku, to wszystko. Ale ja znam się na drobiu, dlatego stawiam pięć szylingów, że ptak, którego jadłem, pochodzi ze wsi.

— No to załóż się pan?

— Nie chcę pana naciągać, gdyż jestem przekonany, że mam rację. Stawiam suwerena, po prostu, żeby odurzyć pana uporu.

Kupiec zaśmiał się drwiąco.

— Mam tu listę osób, od których kupuję. Na tej stronie zapisane są nazwiska dostawców wiejskich i numery przy ich nazwiskach odpowiadają numerom rachunków w wielkiej księdze. A teraz czy widzi pan drugą stronę zapisaną czerwonym atramentem? Tu mam listę moich dostawców z miasta. O tu, trzecie nazwisko, proszę przeczytać.

— M. Oakshott, 117 Brixton Road 249 — przeczytał Holmes.

— O to chodziło, teraz proszę wziąć księgę główną.

Holmes odszukał wskazaną stronę. — O mam, M. Oakshott, 117 Brixton Road, dostawczyni jaj i drobiu.



rys. A. Uniechowski

— Jaki jest ostatni zapis?

— Dwudziesty drugi grudeń — 24 gęsi po 7 szylingów 6 pensów.

— Dobrze, a co pod spodem?

— Sprzedano Windigate’owi z „Alfy” po 12 szylingów.

— I co pan na to?

Holmes wyglądał na poważnie zmartwionego. Wyciągnął z kieszeni suwerena, rzucił go na ladę i wyszedł z miną człowieka, którego oburzenie nie ma granic. Kilka jardów dalej zatrzymał się pod lampą i zaśmiał się bezgłośnie, po swojemu.

— Jestem przekonany, że gdybym położył przed nim sto funtów, nigdy nie udzieliłby mi tak wyczerpujących informacji. Zrobił to wyłącznie dlatego, żeby wygrać ze mną zakład. Tak, Watsonie, zbliżamy się do końca naszych poszukiwań, musimy tylko zdecydować, czy pojedziemy do pani Oakshott zaraz, czy odłożymy tę wizytę do jutra rano.

Nagle przerwała mu głośnie wrzawa, która powstała przed straganem Breckenridge’a. Odwróciliśmy się szybko: w kręgu wiszącej lampy ulicznej stał niepozorny człowieczek o twarzy szczura, a rozwścieczony kupiec wymachiwał nad nim pięściami.

— Mam już dosyć pańskich gęsi i pana — krzyczał — idźcie razem do diabła.

— Nie, ale mimo to jedna z nich była moja — jęknął płaczący się jegomość.

— To upominaj się pan o nią u pani Oakshott.

— Ona mi powiedziała, żeby spytać pana.

— Ten człowiek oszczędzi nam wizyty na Brixton Road — szepnął Holmes. — Chodź ze mną, zobaczmy, na co się on nam przyda. — Zaczęliśmy szybko iść mijając ludzi przechadzających się przed oświetlonymi straganami i wkrótce dogoniliśmy małego człowieczka. Gdy mój towarzysz dotknął jego ramienia, ten aż podskoczył i odwrócił się gwałtownie, a w świetle lampy mogłem dostrzec, że zbladł jak ściana.

— Kim pan jest i czego pan chce? — spytał łamiącym się głosem.

— Zechce mi pan wybaczyć — powiedział uprzejmie Holmes — ale przypadkiem usłyszałem pytania, które przed chwilą zadawał pan kupcowi. Myślę, że mógłbym panu pomóc.

— Kim pan jest? Co pan wie o tej sprawie?

— Nazywam się Sherlock Holmes i moim zajęciem jest wiedzieć to, czego nie wiedzą inni.

— Och, jest pan człowiekiem, którego pragnęłam spotkać! — zawołał nieznajomy wyciągając drżące ręce. — Trudno mi wprost wytłumaczyć panu, jak bardzo ta sprawa mnie obchodzi.

Sherlock Holmes zatrzymał przejeżdżającą karetkę.

— Tę sprawę lepiej omówić w zacisznym pokoju niż na targu, gdzie hula wiatr — zauważył. — Ale zanim wsiądziemy, niech mi pan powie, z kim mam przyjemność rozmawiać?

Mężczyzna chwilę się wahał.

— Nazywam się John Robinson — odpowiedział patrząc z ukosa.

— Nie, nie, proszę o prawdziwe nazwisko — powiedział łagodnie Holmes.

Twarz nieznajomego splonęła krwawym rumieńcem.

— A więc naprawdę nazywam się John Ryder.

— Wiem, zarządzający hotelu „Cosmopolitan”. Proszę, niech pan wsiada, a wkrótce będę mógł wyjaśnić panu wszystko, co pan zechce.

W czasie jazdy milczeliśmy, ale szybki oddech naszego towarzysza, nerwowe splatanie i rozplatanie rąk świadczyły wyraźnie, w jakim stanie napięcia nerwowego się znajduje.

— Jesteśmy na miejscu! — zawołał wesoło Holmes, gdy weszliśmy do pokoju. — No, teraz jestem gotów! Zapewne chciałby pan wiedzieć, co się stało z tymi gęsiami.

— Tak, proszę pana.

— A raczej, jak przypuszczam, z tą gęsią. Był jeden ptak, którym interesował się pan specjalnie — biały z czarną łatą w poprzek ogona.

Ryder zadrżał z wrażenia.

— Och, panie! — zawołał. — Czy może mi pan powiedzieć co się z nią stało?

— Znalazła się tutaj.

— Tutaj?

— Tak, i okazało się, że jest to niezwykle ciekawy okaz. Wcale się nie dziwię, że pan tak się nią interesuje. Po śmierci złożyła jajko, najpiękniejsze błękitne jajko, jakie kiedykolwiek widziałem. Mam je tu, w moim muzeum.

Nasz gość zerwał się na równe nogi i prawą ręką chwycił za brzeg kominka. Holmes otworzył kasetkę i wyjął błękitny karbunkuł, który zabłysnął promienistą jasnością jak zimna, lśniąca gwiazda. Ryder stał jak wryty, wpatrzony w kamień, boleśnie skurezona twarz wyrażała niepewność, czy zażądać zwrotu klejnotu, czy się go wypreść.

— Gra się skończyła, Ryder — powiedział spokojnie Holmes.

Przez chwilę Ryder chwiał się tak, że omal nie upadł, siadł wpatrzony z przerażeniem w swego oskarżyciela.

— Mam w ręku wszystkie potrzebne mi dowody, więc niewiele chciałbym się od pana dowiedzieć. Te nieliczne szczegóły mogą jednak wyjaśnić całkowicie sprawę. Skąd pan wiedział o błękitnym kamieniu księżnej Morcar?

— Powiedziała mi o tym Katarzyna Cusack — odpowiedział łamiącym się głosem Ryder.

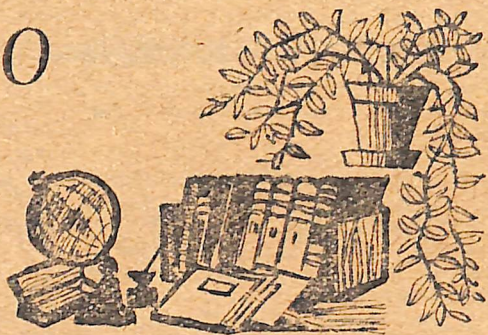
— A więc tak, pokojówka księżnej. Pokusa nagłego, łatwego wzbogacenia się była zbyt silna dla pana, zresztą i lepsi od pana ludzie jej ulegali, ale pan nie przebiegał w środkach. Wydaje mi się, Ryder, że ma pan wszelkie zadatki na skończonego lotra. Wiedziałeś pan, że słuszny Horner zamieszany już był w podobną sprawę i że przede wszystkim na niego padną podejrzenia. Coż pan zrobił? Przygotował pan razem ze swą współniczką Cusack jakąś drobną reperację w pokoju księżnej i tak pokierował sprawą, że posłano po Hornera. A kiedy wyszedł, okradłeś pan szkatułkę, wszcząłeś alarm i spowodowałeś aresztowanie tego nieszczęśliwca. Potem...

W tej chwili Ryder rzucił się do kolan mego przyjaciela.

— Na miłość boską! Miej pan litość nade mną — zawołał. — Pomyśl o moim ojcu i matce, to ich załamie. Nigdy nie popełniłem nic złego! I nigdy więcej tego nie zrobię. Przysięgnę na Biblię. Tylko nie oddawaj sprawy do sądu! Błagam, nie rób tego!

— Usiądź, Ryder — powiedział surowo Holmes. — Dobrze ci teraz wid się i pelzać, ale przedtem jakoś nie pomyślałeś o tym biedaku Hornerze, który niewinnie znalazł się na ławie oskarżonych.

Daleko od mamy



PRZYCMIONA żarówka niewiele daje światła, piec niedostatecznie ogrzewa. Brud rozpanoszył się i króluje na niemalowanym stole, służącym chłopcu do odrabiania lekcji, na podłodze, na szybach, w każdym kącie. Od dawna nie tknęła tego pokoju gospodarna kobieca ręka. Trudno zresztą prymitywne pomieszczenie z oknem tuż nad ziemią nazywać pokojem. Mimo to, choć uczeń K. mieszka tu na stacji już od 3 lat, choć jest nie u obcych

ście przypada więc jeden uczeń szkoły średniej. A to chyba niemało.

ALINA Borkowska ma przed sobą tylko niepełny rok nauki. Pokoik, w którym mieszka u gluchej, starej gospodyni, jest wprawdzie schludny, ale jest tu przenikliwie zimno. Uczyć się trzeba w małej kuchence ogrzewanej najczęściej tylko elektryczną maszynką. A przecież Alina oprócz 130 złotych daje gospodyni także pół me-

dużo ciepła. A więc warunki dobre? Niezupełnie.

Obliczamy ile ten pokoik ma metrów powierzchni: 12, może 14? Trzy łóżka zajmują połowę powierzchni. Cena? Miesięcznie 150 złotych od osoby, razem 450 zł.

— To nie jest drogo — mówi Freda — dostajemy przecież jeszcze rano herbatę. A w zeszłym roku płaciłam tyle samo, choć mieszkalam w strasznym pokoju z dziurawą podłogą.

ZA ką, miejsce w izbie płaci młodzież więc 150–200 złotych. Oznacza to, że właściciel mieszkania otrzymuje 300, 450, a nawet 600 złotych za pokój zajmowany przez kilku młodych lokatorów.

— Zbyt wysokie stawki zdarzają się wcale nie tak rzadko — mówi Rudolf Probst dyrektor Liceum Ogólnokształcącego. — Staramy się temu przeciwdziałać. Co roku wychowawcy wraz z członkami komitetu rodzicielskiego odwiedzają stancje. Jednak nawet lokatorów nieodpowiednich pomieszczeń trudno jest przekwaterować, bo po prostu nie ma dokąd. Uważamy zresztą, że nawet zła stacja jest lepsza niż codzienne dojazdy — mówi dyrektor i na poparcie swojej tezy przytacza cyfry.

— W ubiegłym roku do XI klasy w naszym Liceum nie

przeszło ośmiu uczniów. Siedmiu z nich to dojeżdżający. Do klasy 10 nie promowaliśmy 9 uczniów, w tym 7 dojeżdżających. Do 9 nie otrzymało promocji 20 uczniów, a w tym 12 dojeżdżających.

To są cyfry alarmujące. Zapewnienie uczącej się w szkołach młodzieży przyzwoitego i taniego mieszkania, miejsca do nauki, dobrego obiadu — jest sprawą wielkiej wagi. Złe warunki odbijają się bezpośrednio na wynikach nauki i niejednemu młodemu człowiekowi zagroziły już do niej drogę.

Złe stancje znajdują się nie tylko w Radzynie. I nie tylko w Radzynie młodzież mieszkająca na stacji jest pozbawiona opieki i pomocy. Dziecko choćby i 16-letnie nie jest równorzędnym partnerem w sporze o opłatę, nie potrafi trafnie ocenić atmosfery panującej w domu gospodarza, stwierdzić jakie tu znajdzie warunki nie tylko mieszkaniowe, ale i wychowawcze.

Powoli ustala się zwyczaj, że pośrednikiem między właścicielami mieszkań a uczniami — lokatorami, jest szkoła. Informacje szkoły są pewne, wiadomo, że warunki na stacji polecanej przez szkołę są niezłe, środowisko dla młodzieży właściwe, a cena niewygórowana. Zwyczaj ten, naszym zdaniem, powinien stać się prawem obowiązującym wszędzie. Wprowadzenie przepisu rejestrowania stacji czy wydawania na nie koncesji zależy tylko od dobrej woli inspektoratu oświaty i miejskiej rady narodowej.

Istnieją również inne sposoby, by nawet w trudnych warunkach przyjąć uczniom z pomocą. W ubiegłym roku istniała na przykład w Liceum w Radzynie popołudniowa świetlica. Powinna istnieć

w każdej szkole. Tu pensjonariusze stacji mogą odrabiać lekcje, tu znajdują namiastkę rodzinnego domu, tu wreszcie mogą spotkać się z koleżankami i z kolegami. Wiele szkół prowadzi też stołówki. Liceum w Radzynie jest w o tyle dobrej sytuacji, że wkrótce przeprowadza się do nowego, wspaniałego gmachu. Będzie tu miejsce na świetlicę, na stołówkę, nawet na malutki prowizoryczny internat w klasach szkolnych. Nie wszędzie są takie możliwości. Wszędzie jednak można znaleźć jakieś rozwiązanie.

Jeśli mówimy szkoła, to nie mamy na myśli wyłącznie dyrekcji i nauczycieli. Szkoła to także komitet rodzicielski. Tak się składa, że jego członkowie pochodzą z miasta. I — ponieważ stancje nie są sprawą dotyczącą dzieci członków komitetu, wymykają się jego uwadze. Tymczasem bieżąca kontrola stacji, dożywianie, organizowanie życia świetlicowego, troska na co dzień o młodzież szkolną, która jest pozbawiona nadzoru rodzicielskiego, staje się głównym, na pewno pierwszym obowiązkiem komitetów rodzicielskich.

MARIA ZYBERT



— Jak dla stałej klientki, to schudła pani dwa kilo...

rys. Julian Żebrowski

— Ucieknę, panie H. lmes! Wyjadę z kraju, a wtedy oskarżenie przeciwko niemu zostanie wycofane.

— Hm. Musimy o tym jeszcze porozmawiać. A teraz proszę mówić prawdę, jak to było dalej. Jakim sposobem kamień znalazł się w gęsi i jak się ta gęś dostała na rynek? Mów prawdę, Ryder, bo tylko w niej leży nadzieja twego ratunku.

Ryder zwilżył językiem wyschnięte wargi.

— Opowiem panu wszystko, jak było. Kiedy Horner został aresztowany, wydawało mi się, że najlepiej będzie uciec, bo przecież nie wiedziałem, kiedy policja może wpaść na pomysł przeszukania mnie i moich rzeczy, a w hotelu nie było dla kamienia bezpiecznego miejsca. Wyszedłem udając, że mam coś pilnego do załatwienia, i poszedłem do mojej siostry. Wyszła ona za mąż za Oakshotta, mieszka na Brixton Road i tuczy drób na sprzedaż. Po drodze wydawało mi się, że każdy człowiek, którego spotykam, jest detektywem albo policjantem, i chociaż wieczór był zimny, pot mi spływał po twarzy. Moja siostra zapytała mnie, czego chcę i dlaczego jestem taki blady. Odpowiedziałem jej, że się przejąłem kradzieżą biżuterii w hotelu. Potem poszedłem na podwórko, zapaliłem fajkę i zacząłem myśleć, co mam począć. Oparłem się o ścianę i zapatrzyłem na gęsi, które kreśliły się koło moich nóg. Nagle przyszedł mi do głowy pomysł, dzięki któremu mogłem wyprowadzić w pole najlepszego na świecie detektywa.

Kilka tygodni temu siostra powiedziała mi, że mam sobie wybrać jako prezent świąteczny jedną z gęsi — wiedziałem, że zawsze dotrzymuje słowa. Postanowiłem, że zaraz wezmę gęś i w niej przeniosę kamień do Kilburn. Na podwórku stała niewielka szopa, wpędziłem do niej tłustą gęś z czarną

łatą na ogonie. Tam ją zlapałem, otworzyłem dziób i wsadziłem kamień tak daleko, jak sięgnął palec. Gęś przełknęła i wyczuliłem, że kamień przeszedł przez przełyk do żołądka. Tak się przy tym wyrwała i machała skrzydłami, że wyszła moja siostra zobaczyć co się dzieje. Kiedy się odwróciłem, żeby jej powiedzieć, podłe ptaszysko wyrwało mi się z rąk i uciekło do innych.

— Coś ty tu wyprawiał z tą gęsią, Jem? — spytała siostra.

— Powiedziałam, że dasz mi jedną na Boże Narodzenie, patrzyłem więc, która jest najtłustsza.

— Twoją trzymamy osobno, nazywamy ją gęsią Jema, o, to ta biała, duża. Mam ich teraz dwadzieścia sześć: jedna dla ciebie, druga dla nas i dwa tuziny na sprzedaż.

— Dziękuję ci bardzo, Maggie, ale jeżeli nie zrobi ci to różnicy, wezmę tę, którą przed chwilą oglądałem.

— Dobrze, zabij ją i zabieraj sobie.

— Zrobiłem, jak mi powiedziała, panie Holmes, i zaniósłem ptaka do Kilburn. Opowiedziałem memu kumpiowi o wszystkim; to człowiek, z którym łatwo mówić o takich rzeczach. Śmiał się, aż go zatkało, potem wzięliśmy nóż i rozciąliśmy gęś. Serce mi zamario, kiedy zobaczyłem, że nie ma kamienia, i zrozumiałem, że popełniłem straszną omyłkę. Zostawiłem u niego gęś i pobiegłem do siostry. Wpadłem na podwórko — nie było ani jednego ptaka.

— Gdzie się podziały gęsi, Maggie?

— Odesłane do handlarza.

— Do jakiego znów handlarza?

— Do Breckenridge'a na Covent Garden.

— A czy była inna z łaciastym ogonem? — spytałem. — Taka sama jak ta, którą wybrałem?

— Tak, Jem, były dwie z łaciastymi ogonami i nigdy nie mogłam ich rozróżnić.

Poleciałem do Breckenridge'a, ale sprzedał całą partię od ręki i nie chciał mi powiedzieć komu. Sam pan go słyszał. Tak mi zawsze odpowiadał. Moja siostra myśli, że zwirowałem. Mnie samemu też się czasami tak wydaje. A teraz... teraz jestem napiętnowany na zawsze jako złodziej.

Zapanowała długo cisza przerywana tylko płaczem i rytmicznym uderzaniem palców Sherlocka Holmesa o brzeg stołu. Nagle mój przyjaciel wstał i otworzył drzwi.

— Precz stąd!

— Co?... Niech pana Bóg błogosławi!

To wystarczyło. Rozległ się tylko tupot na schodach, trzaśnięcie drzwiami i głośnie kroki na ulicy.

— Mimo wszystko, Watsonie — powiedział Holmes wyciągając rękę po swą glinianą fajkę — nie jestem zaangażowany przez policję, żeby naprawiać ich pomyłki. Gdyby Hornerowi groziło niebezpieczeństwo, to co innego, ale Ryder nie będzie zeznawał i sprawa zostanie umorzona. Być może popełniłem przestępstwo, ale jest równie możliwe, że ratuję od zagłady człowieka. Ryder nie robi więcej nic złego, jest na to zbyt przerażony.

Z tomu nowel „Przygody Sherlocka Holmesa” — Wyd. Iskry, Warszawa
Przełożyła IRENA DOŁĘŻAL-NOWICKA

Alba de Céspedes
**BRULION
CW WALERII
COSSATI** (36)

Waleria, oszołomiona wyznaniem Cantonego o jego wielkiej miłości do Mirelli, poczuła się osamotniona. Marzy o spotkaniu z Guidem.

Ukryłam głowę w tym płaszczu jak w zagłębieniu czyjegoś ramienia. Nie mogę już znieść samotności. Od kiedy powiedziałam, że to niemożliwe, usiłuję nie widzieć tkliwych spojrzeń Guida i czułości, jaką mnie otacza. Udaję, że pragnę, by był dla mnie przyjacielski jak dawniej, by zapomniał o wszystkim, co mi powiedział, i wmawiam w siebie, że poza chwilami wzruszenia nigdy nie zdradziłam mu swoich uczuć.

Ale wczoraj wrażenie rozpaczliwej samotności, którego doznałam po rozmowie z Cantonim, napędziło mnie lekciem. Balam się, że idąc za moją radą, Guido naprawdę o mnie zapomni. Balam się wrócić do domu; nie czułam się na siłach stawić czoła oczekującym mnie zadaniom. Nie miałam ochoty zobaczyć Michela, który wymaga od wszystkich uszanowania swoich humorów, ani Riccarda, który nadal jest rozgoryczony, że nie ma pieniędzy, i obwinia o to zarówno nas, jak i rząd, wygłaszając swoje teorie na ten temat. A przede wszystkim nie miałam ochoty zobaczyć się z Mirellą. Nie uniknęłabym bowiem rozmowy o Cantonim, a sama nie rozumiałam właściwie znaczenia jego wizyty. Najchętniej powiedziałabym Mirelli: „Rób, co chcesz, daj mi święty spokój, jestem taka zmęczona”.

Usiadłam w fotelu Guida i zadzwoniłam do domu, że jestem zajęta i nie wrócę na obiad. Telefon przyjął Mirella i wyczułam w jej głosie niezadowolenie. Chciała się zapewne dowiedzieć, jak wyglądała rozmowa z Cantonim, lecz ja nie wspominałam ani słowem na ten temat. To, że uwolniłam się na kilka godzin od rodzinnych obowiązków, od razu mnie rozweseliło. Postanowiłam iść do restauracji i zjeść smaczny obiad, nie będąc zmuszoną gotować i zmywać talerzy. Ale ona śmieciła mnie myśl, że musiałabym tam iść sama. W rzeczywistości miałam tylko jedno pragnienie, którego nie odważyłam się sformułować. Poszłam powiedzieć woźnemu, że zostaję w biurze, by załatwić pilne sprawy, i poczułam ulgę, gdy usłyszałam, że zamknęły się za nim drzwi. Wróciłam do biurka Guida i szybko nakręciłam jego numer. Odebrał słuchawkę lakoniczny lokaj i przez moment balam się, że nie zechce go poprosić do telefonu. Po chwili usłyszałam kroki Guida.

— Halo — powiedziałam. — Powinien pan już wracać do biura. Jestem tutaj sama. Chciałam panu przypomnieć, że ma pan umówione spotkanie.

Zawahał się przez moment, po czym opanował się i odpowiedział:

— Rozumiem. Skończę tylko obiad i zaraz przyjdę.

Czekałam na niego siedząc w fotelu. Przesładowały mnie niektóre powiedzenia Cantonego. Widziałam jego śmiejącą się twarz, podczas gdy mówił, że nie jest bogaty i ma tylko swoją pracę. Przypominałam sobie, jak powiedział o wahaniem, że nie rozumiem Mirelli. Irytował mnie pewny siebie ton, z jakim wymawiał imię „Mirella”, jak gdyby to on je wymyślił, jak gdyby do niego należało. Potem przestałam o tym myśleć i zamknęłam oczy wypoczywając w fotelu.

Gdy usłyszałam zgrzyt klucza w zamku zerwałam się na równe nogi. Szukałam naprędce jakiegos pretekstu, by usprawiedliwić swój nagły telefon. Nie chciałam się przyznać, że po prostu pragnęłam go zobaczyć, być z nim razem. Wszedł szybko, energicznym krokiem. W pierwszej chwili nie dostrzegł mnie, bo miał jeszcze oczy oslepione słońcem, a w pokoju było ciemno. Stałam we wnętrzu okiennej.

— Co się stało, Walerio? — zapytał podchodząc do mnie.

— To niemożliwe — szepnęłam, podczas gdy całował mnie w obydwie ręce. — Muszę opuścić biuro i odejść. Nie mogę sobie dać rady. Sama nie wiem, gdzie mam uciekać. Muszę wziąć pięć-

naście, dwadzieścia dni urlopu i wyjechać. Postanowiłam, że wyjadę do siostry mojej matki, do Werony, żeby wyrwać się stąd i odzyskać spokój.

Nigdy przedtem poważnie o tym nie myślałam, ale nagle ten wyjazd wydał mi się jedynym ratunkiem, wyzwoleniem. To, co powiedziałam, najwyraźniej ucieszyło Guida.

— Kiedy? — zapytał.

— Nie wiem — odpowiedziałam. — Chciałabym wyjechać zaraz, lecz nie mogę zostawić tak od razu dzieci i domu. Za dwa tygodnie.

Podszedł do biurka i przerzucił kartki kalendarza. Gdy wrócił, ujął znowu moje ręce i patrząc z miłością w oczy, powiedział:

— Za dwa tygodnie muszę być w Trieście, ale wystarczy mi na to jeden dzień. Wracając mogę się zatrzymać w Wenecji trzy do pięciu dni. Wenecja jest bardzo blisko. — Potem dodał cicho: — Pięć dni w Wenecji.

Od kiedy powiedział te słowa, nie mam już ani chwili spokoju. To moja wina. Nie powinnam była posunąć się tak daleko, nie powinnam była telefonować do niego i prosić, by przyszedł, kiedy byłam sama w biurze. Upadłam na fotel i myślałam o tym, że wymienię właśnie Wenecję, choć równie dobrze mógł zaproponować Vicencę lub Padwę, które są tak blisko Werony. Wydawało mi się, że odgadł moje myśli i parzenia, i czułam, że nie mam już możliwości ucieczki. Powtarzałam:

— Nie, nie — i marszczyłam brwi przerażona tym, co powiedziałam.

Prosił, bym nie odpowiadała mu od razu, błagał, bym tego nie robiła. Mówił, że jest dość czasu do namysłu, a on nie będzie nalegał i dostosuje się do każdego mojego życzenia. Powiedział także, iż powinnam mieć do niego zaufanie, powinnam wiedzieć, jak bezgranicznie jest mi oddany. Tulił mnie w ramionach, muskając lekko ustami moje skronie, szeptał, że nie wolno nam rezygnować z miłości, że szczęścia, że mamy do tego prawo.

— Pełne prawo — powtarzał.

Czułam, że te słowa nawiązują do czegoś w jego życiu, do czegoś, o czym nfe wiem.

A ja myślałam: „Dosyć Mirelli, dosyć Riccarda, dosyć, dosyć!”.

Kiedy woźny wrócił, zastał nas samych, siedzących po ciemku, lecz byłam tak pogrążona w myślach, że w ogóle nie zwróciłam uwagi na jego zdziwione spojrzenie. Wydawało mi się, że już siedzę w pociągu.

W domu Mirella, widząc moje zamyślenie, wywołała mnie na bok i zapytała:

— Czy to z mojej winy, mamusi?

Kiwnęłam głową, a ona powiedziała z przejęciem:



rys. A. Święcicka

— To Sandro uparł się, żeby z Tobą mówić. Od razu wiedziałam, co to będzie dla ciebie za przeżycie.

Rozmawialiśmy przez chwilę, ale w gruncie rzeczy nie mnie to nie obchodziło. Mirella potwierdziła wszystko, co mówił Cantoni; zauważyłam, że obydwoje używają nawet tych samych słów.

— Pomówię z ojcem — oświadczyłam. — Dziś nie czuję się na siłach tego zrobić. On zadecyduje. Może rzeczywiście będzie lepiej, żebyś potem wprowadziła się do domu. My przywykliśmy żyć zgodnie z pewnymi zasadami, które może, jak ty twierdzisz, są fałszywe i przestarzałe, ale nie możemy ich zmienić.

Po raz nie wiem który zdziwił mnie jej chłód; nie prosiła o przebaczenie, nie usprawiedliwiała swojego postępowania zaślepioną namiętnością. W okresie narzeczeństwa grzeszyłam z Michелеm, ale udawałam, że robię to wbrew woli, bezwiednie mu ulegając. To samo było w noc poślubną i potem przy każdym zbliżeniu. Gdybym wybrała się do Wenecji, pewnie udawałabym, że nie wiem, po co tam jadę i jak skończy się ta moja eskapada. Taka

jest różnica między mną i Mirellą. Wydaje mi się, że ona, godząc się świadomie na pewne sytuacje, wyzwoliła się raz na zawsze od grzechu. Miałam ochotę zapytać, czy ma spokojne sumienie, lecz nie mogłyśmy dłużej ze sobą mówić, ponieważ wrócił Michele i musiałam zabrać się do gotowania, podczas gdy on, nie odstępując mnie ani na krok, tłumaczył mi wszystko, co mam powie- dzieć jutro Klarze. Boi się najwyraźniej, bym o czymś nie zapomniała. Powiedziałam, że i tak bardzo na tym zależy, by dowiedzieć się, jak wygląda sprawa scenariusza, bo jeśli otrzymam urlop w biurze, chciałabym się wybrać na kilka dni do Werony do ciotki Matyldy. Miałam wrażenie, że Michele domyślił się od razu, o co chodzi, i zabronił mi jechać, a tymczasem powiedział, że doskonale mi to zrobi. Dodałam wtedy, że z Werony zamierzam wpaść na kilka dni do Wenecji.

— To dobra myśl — odrzekł — od dawna przecie o tym marzysz.

Wiedziałam, że cokolwiek powiem, nie się już teraz nie zmienię. Gdybym mu nawet wyznała, że dyrektor też jedzie do Wenecji, uznalby to za zupełnie naturalne. Przypominałam sobie, jak niegdyś powiedział, co odczuwał, kiedy dyrektor odwoził mnie do domu, a on już nie widzi, nawet mnie. Stałyśmy między nami dzieci i Marina, i Cantoni, i stopy talerzy, które zmywałam przez te wszystkie lata, i godziny spędzone w biurze, i wszystkie zupy, które gotowałam tak jak wczoraj wieczorem, mając oczy przesłonięte parą. Myślałam o tym, że od dawna nigdzie nie wyjeżdżałam i mam tylko jedną starą fibrową walizkę. Będę musiała wziąć tę większą, skórzaną, która jest własnością Michela.

18 kwietnia.

Dzisiaj byłam na obiedzie u Klary. Byłyśmy tylko we dwie, jak za dawnych panieńskich czasów, i wydawało mi się, że jestem na wakacjach. Kupiła mieszkanie w nowoczesnym domu, w dzielnicy Parioli. Z tarasu rozciąga się daleki, pogodny widok: łąki, pinie i białe domy. Taras jest już cały w kwiatkach i przyjemnie było tam posiedzieć na leżance, na której Klara opala się na słońcu. Mówi, że delikatna opalenizna nadaje młodzieńczy wygląd i że kurację słoneczną stosują wszystkie aktorki filmowe. Przed chwilą, w łazience zanotowałam sobie nazwy wszystkich używanych przez nią kosmetyków. Ma ich całe mnóstwo i nie wiem, które nadałyby się dla mnie, lecz nie śmiem o to zapytać. Oczywiście, że życie Klary uległo zmianie od czasu, gdy się rozstała z mężem; Michele ma rację. Nigdy bym się nie spodziewała, że potrafi z

takim smakiem urządzać mieszkanie, nie podejrzewałam ją o tyle inteligencji; dawniej była kokietką, mówiła tylko o mężczyznach. Zapytałam, czy jak zwykle jest zakochana. Spojrzała na mnie podejrzliwie.

— Nie, nie — odrzekła szybko.

Trudno, nie mogę w to uwierzyć. Klara twierdziła zawsze, że nie mogłaby żyć bez miłości. Może nie ma już do mnie zaufania? A ja chętniej niż kiedykolwiek, pomówiłabym z nią dziś na ten temat.

— Miłość zajmuje zbyt wiele czasu — rzekła Klara — bo w rzeczywistości miłość nie istnieje: trzeba ją wymyślać co dzień, co chwila i zawsze być na wysokości swojego wyznaczenia. To nie tak łatwo... — zakończyła ze sztucznym, cynicznym uśmiechem.

Powiedziała, że jest ogromnie zajęta, próbowałabym więc, zgodnie ze wskazówkami Mi-

chela, wybadać, dlaczego. Odpowiedziała wymijająco:

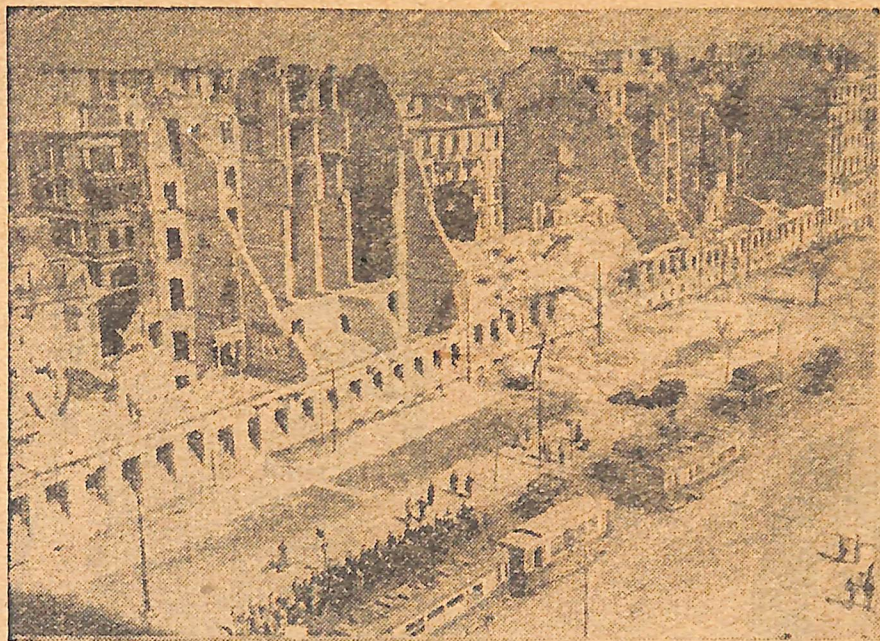
— Scenariusze... przyjęcia, które stale muszę urządzić. Mam mnóstwo zobowiązań. Chętnie widywałabym się częściej z Michелеm. Wiem, że chciałby rzucić posadę w banku i poświęcić się filmowi. Musisz mu przemówić do rozsądku, Walerio. Może niedobrze się stało, że przyszedł do was wtedy w niedzielę na obiad. To zawsze źle się kończy, gdy stykają się dwa odległe od siebie światy. Każdy powinien pozostać w swoim. Ale zawsze za późno dochodzi się do tego wniosku. Świat, w którym ja żyję, nazbyt różni się od waszego; nie wiem, czy jest lepszy czy gorszy, ale jest inny. Do Michela, który całe życie przesiadywał w banku, nikt nie miałby zaufania. Zawsze uważano by go za dyletanta. I tak by zresztą było, nie mogłoby być inaczej. Początkowo Michele zadziwił mnie: sądząc z tego, co mówiłaś, wyobrażałam go sobie całkiem inaczej. Naprawdę miałam nadzieję, że uda się sprzedać scenariusz, robiłam co mogłam, ale jak dotąd bezskutecznie.

d. c. n.

Hum. ZOFIA ERNSTOWA



Spódnice
i kamizelki



Rok 1945

Nasza Stolica

Zbłąkany pośród zgłiszcz stanąłem
wśród wzgórz dymiącej, krwawej
cegły,
wiatr sygnął śniegiem i popiołem...

(L. Pasternak)

KIEDY 17 stycznia 1945 r. w wyniku wielkiej ofensywy na froncie wschodnim została oswobodzona przez Armię Radziecką i Polskie Wojsko lewobrzeżna Warszawa — tylko ruiny i zgłiszcz wskazywały, że było tu niegdyś miasto.

W ciągu swego istnienia Warszawa nieraz już ulegała mniejszym lub większym zniszczeniom wskutek wojen, czy pożarów. W 1431 r. ogień strawił niemal całe śródmieście. Również w 1607 r. spłonęła znaczna część miasta, a wkrótce potem zaraza zdiesiątkowała ludność. Podczas „potopu” w 1655 r. spłądowali i spalili Warszawę Szwedzi. Ale żadna z tych klęsk nie da się porównać ze zbrodnią, jakiej dopuścili się na milonowym mieście hitlerowcy. Niszczenie Warszawy rozpoczęło podczas wrześniowego napadu, a ukończone ostatecznie w 1944 r. miało zupełnie inny charakter niż poprzednie klęski. Były częścią planowej akcji politycznej, mającej na celu zagładę narodu polskiego. Po upadku powstania i wypędzeniu lub wywiezieniu do obozów pozostałej przy życiu ludności — na rozkaz Hitlera przystąpiły do pracy specjalne oddziały niszczyielskie, tzw. „Vernichtungskommando”. Podpalano dom po domu, ulicę po ulicy. Gmachy zabytkowe, muzea, kościoły, zakłady naukowe, biblioteki, teatry, które nie zostały zburzone podczas bombardowania — wysadzano w powietrze, oczywiście po uprzednim gruntownym obrabowaniu.

Spalone zostały lub zrabowane bezcenne dzieła sztuki, stare rękopisy i dokumenty, miliony książek.

Kiedy stolica nasza otrzymała wolność — prawie 12 tysięcy budynków mieszkalnych i ponad 500 gmachów zabytkowych leżało w gruzach. Rozbite były mosty, dworce kolejowe, elektrownia, gazownia i sieć wodociągowa, stratomane jezdnie i chodniki. Ogólne straty spowodowane przez zniszczenia wojenne Warszawy wyniosły w przybliżeniu ponad 3 miliardy dolarów, nie licząc oczywiście niemożliwych do określenia strat zabytków historycznych i kulturalnych.

Zdawało się, że nie ma na świecie siły, która byłaby zdolna wskrzesić do życia to wielkie, umarłe miasto. A jednak Warszawa żyje. Dzień wyzwolenia stał się również dniem

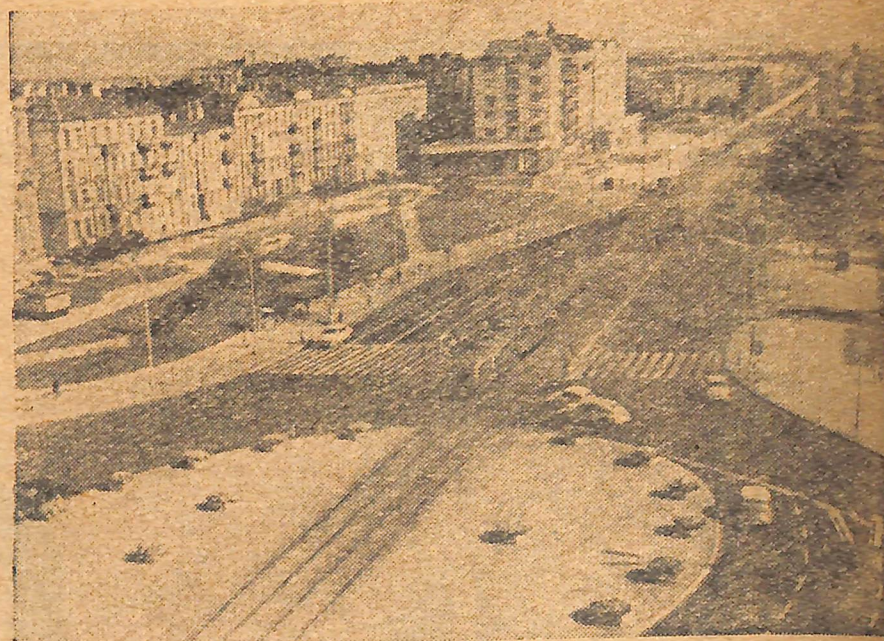
powrotu na jej gruzach i zgłiszcz pierwszych mieszkańców. Przez śnieżne pola i drogi, zryte gąsienicami czołgów, dźwigając na plecach lub pchając na taczkach cały swój dobytek, wracały tłumy ludzi „do domu”. Ruch się zaczął wśród ruin i grobów.

Nie zważając na mróz i śnieg, na brak światła, opału i żywności — warszawiacy kłecili z niedopalonych desek budy, wyrzucali gołymi rękami gruz z piwnic, uprzątały ulice, urządzali się.

W dwa tygodnie po wyzwoleniu, 1 lutego 1945 r. Rząd Ludowy powziął ostateczną decyzję: „Warszawa będzie stolicą Polski. Zostanie odbudowana”.

I została odbudowana — choć sprawa wcale nie była łatwa.

Należało przede wszystkim oczyścić miasto z min. Saperzy radzieccy i polscy z narażeniem życia usunęli z terenu Warszawy ponad 200 tysięcy



Rok 1963

Fot. J. Bułhak

min i niewypałów. Zbudowali drewniany most przez Wisłę. Uruchomiono także komunikację — najpierw były tylko furmanki, później przybyły ciężarówki. Wkrótce zabłysło światło dzięki elektrycy, której urządzenia zostały dostarczone przez Związek Radziecki. Ruszyły tramwaje. Naprawiono sieć kanalizacyjną, ludzie otrzymali wodę. Odbudowano radiostację. A w szkołach wśród ruin — już się uczyły dzieci.

Na początku 1945 r. powołane zostało Biuro Odbudowy Stolicy. Najlepsi architekci i urbanisci przystąpili do pracy nad planami odbudowy miasta. Postanowiono, że wszystkie zabytkowe, historyczne budynki, a nawet całe dzielnice, jak Stare i Nowe Miasto, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat — zostaną odbudowane dokładnie tak, jak wyglądały pierwotnie.

Ale równocześnie powstaną zupełnie nowoczesne dzielnice mieszkaniowe.

Obok gmachów użyteczności społecznej zaprojektowano wielkie zakłady przemysłowe. Zbuduje się stadiony i boiska sportowe, teatry i muzea, do których powrócą ocalałe od zniszczeń dzieła sztuki.

Aby się przekonać, czy plan ten został wykonany wystarczy przejść ulicami miasta, pojechać na Żerań i do Huty „Warszawa”, obejrzeć wieżowce nowej Pragi i Mokołowa, jasne bloki Bielani, piękne sklepy śródmieścia, i kolorowe kamieniczki Starego Miasta.

W 18 rocznicę wyzwolenia Warszawa zajmuje obszar 445,75 km kw., liczy ponad 1.300 tys. mieszkańców. Jest siedzibą najwyższych władz państwowych, wielkim ośrodkiem przemysłowym, kulturalnym i naukowym. Jest pięknym i nowoczesnym miastem.

A odbudowa i rozbudowa nadal trwa.

J.S.

Lubisz karakuły? -a co o nich wiesz?



— Naturalnie lubisz! Jaka kobieta nie lubi karakułów?

— Ale co o nich wiesz?

— Ze są piękne, i że są bardzo drogie.

— No, a poza tym?

— Poza tym? Hm, chyba niewiele.

— No to posłuchaj.

Rasa owiec karakułowych wyhodowana została przed wielu wiekami w Azji Środkowej na tym samym terenie, gdzie obecnie pasą się największe na świecie jej stada — w szerokim pasie pustyń i górskich stepów, ciągnących się na wschód od Morza Kaspijskiego, wzdłuż północnych granic Iranu i Afganistanu, aż hen do samych prawie granic Chin. Bardzo dużo owiec karakułowych posiada obecnie Afganistan, mniej ich jest w Iranie. A w końcu ubiegłego wieku kilka owiec wywieziono z Uzbekistanu do Niemiec, skąd powędrowały dalej do Afryki

Południowo-Zachodniej, która na światowym rynku karakułów zajmuje dziś trzecie miejsce po Związku Radzieckim i Afganistanie. Ale skończmy z tym formalnym kwestionariuszem osobowym i raczej zapoznajmy się z samą owcą.

Jest to duże, rozczochrane zwierzę przypominające kupę obwisłych, brudnoszarych pakul na czterech czarnych nogach i o czarnej głowie ze zwisającymi uszami. A jednak tej właśnie rozczochranej owcy zabiera się dzieci dla ich cudownych skórek, zwanych fachowo smuszkami.

Owca karakułowa należy do tak zwanych tustooonistych. To znaczy, że u nasady ogona ma poduszkę tłuszczu — rezerwę na czarną godzinę. A takich czarnych godzin w życiu owcy karakułowej bywa bardzo wiele. Przez cały rok przebywa ona pod otwartym niebem w stepach czy pustyniach, w ogóle nie znając owczarni. W najtrudniejsze zimowe miesiące człowiek przychodzi i jej z

pomocą, rozrzucając paszę pod gołym niebem. Ale latem, gdy liczyć musi tylko na to, co jej da przyroda, surowa przyroda suchej i gorącej pustyni, owca karakułowa często korzysta ze swych przezornie odłożonych zapasów tłuszczu na ogonie. Jagnię przychodzi na świat już wyposażone w ten zapas, który przydaje jego ogonkowi ów charakterystyczny wygięty kształt, przypominający „S”.

Świeżo urodzone jagnięta są bardzo zabawne. Stoją nie pewnie na swych chwiejnych nóżkach; ni stąd ni zowąd podskakują wysoko do góry, wyginając się w powietrzu we wszystkie strony, to znów puszczają się nagle galopem prosto przed siebie. Ich lśniąco, sprężyste łoki zaczynają się rozplatać już na trzeci lub czwarty dzień po urodzeniu. Jagnięta zostają więc zabite przeżywszy na świecie nie więcej niż dwa lub trzy dni. Ich matki wydadzą na świat jeszcze wiele pokoleń jagnięt. Ogromna ich większość to czarne jak smoła zwierzątka. Nie więcej niż 15 lub 20 jagnięt na 100 bywa szarej maści. Jeszcze rzadziej zdarzają się złociste lub różowo-brązowe. Te szare nazywają się „sziraz”, a złociste lub różowe — „sur” i są najwyżej cenione przez znawców.

Jagnięta przychodzą na świat pojedynczo lub we dwojkę. Czasami bywa i więcej. Lecz nie jest to pożądane, gdyż jagnięta są tym drobniejsze, im więcej ich się rodzi na raz. A smuszka jest — między innymi — tym cenniejsza, im jest większa.

Smuszki karakułowe przedstawiają wartość jako materiał dla wyrobów kuśnierskich, w których dobranych być musi kilka, a czasem nawet kilkadziesiąt jednakowych skórek. I tu okazuje się, jak bardzo rozmaite mogą być karakuły! Różnią się one nie tylko kolorem — czarne, sziraz czy sur — i nie tylko szerokim wach-

KOBIETA ani na chwilę nie prze-
rywała karmienia dziecka.

— A co tu jest do oglądania?
— zapytała, wskazując z pogardą
przez okno na zrujnowane budynki.

W ciśnień izbie było schłodnie, ale
graty ledwie się trzymały, rozchwia-
ne, pozbijane byle jak gwoździemi.

— Latem każdy pracuje gdzie go
zawołają, a tu nawet krowy nie ma
kto napoić — opowiadała kobieta.

Aż wierzyć się nie chce, patrzac
na mieszkanie, że należy ono do 16-
hektarowego gospodarstwa. Przy-
czym, ziemia tu dobra, a rąk do pra-
cy też nie brak. Sam właściciel. Wa-
lenty Kusiak jest człowiekiem pełnym
sił. Do zabawy nie ma mu równego
we wsi. W małym pokoiku, przy
kuchni jest coś w rodzaju sypialni.
Zamiast szafy — gwoździe wbite w
ścianę. Wiszą na nich garnitury i...
akordeon.

Dzieci z pierwszego małżeństwa
jest czwórka. Dorosłe. Zjawiają się
od czasu do czasu i taty i pryskają
w śmiech. Oboje się wali. Kobieta,
krzając się koło dziecka, zwraca
się do nas i klnie na los, że dała
się zwabić wesolemu wdowcowi. Ma
z nim dziecko.

— Pracować? Po co? — tłumaczy
— kiedy nie wiadomo dla kogo tu
się robi?...

Gospodarstwo Kusiaka ma kilka-
dziesiąt tysięcy złotych zadłużeń wo-
bec państwa, chyba połowa wartości
ziemi i zabudowań. A przecież tutaj,
w Kazali Nowej i w innych wsiach
gromady Suszków, o wiele mniejsze
gospodarstwa doskonale się rozwija-
ją. Czy można więc dalej spokojnie
patrzeć na marnowanie ziemi przez
Kusiaków?

Wnioski nasuwają się same. Gro-
madzka rada skierowała je już do
powiatu; przejął gospodarstwo na
własność państwa. A rodzina Ku-
siaków, złożona z ludzi zdrowych,
jeśli nie chce pracować na roli, mu-
si znaleźć miejsce w zakładach pro-
dukcyjnych.

Pomóc, ale zależy komu...

MINĘŁO już pół roku od ukaza-
nia się ustawy o przejmowaniu
podupadłych gospodarstw w czasowe
użytkowanie lub na własność pań-
stwa. Gromadzkie i powiatowe rady
narodowe szczegółowo rozważają każ-
dy przypadek. Różne są bowiem
przyczyny tego, że jakieś gospodar-
stwo kuleje i chyli się ku upadkowi.

Maria Olszewska w Studnicy, w po-
wiecie biskupskim, posiada 8,5 ha
ziemi. W zabudowaniach mogłoby
się pomieścić kilkanaście sztuk in-
wentarza. Paszy też by nie brakło,
ale trzeba kupić krowy. Nie ma za
co. A za plecami stoi poborca, upo-
minający się o należności podatko-
we i grozi egzekucją. Gromadzka
Rada Narodowa w Radostowie zasta-
nawiała się nad gospodarką Olszew-
skiej. Jak pomóc tej kobiecie?
Stwierdzono, że najlepszym wyjściem
będzie odroczenie płatności zadłużeń
na trzy lata i udzielenie 20 tysięcy
złotych kredytu na zakup inwentar-
za.

W tej samej gromadzie, w jednym
z najbardziej zrujnowanych domów
mieszka wraz z rodziną Aleksander
Olejnik. Bez budowy nowego domu
i obory najlepszy rolnik nie tu nie
poradzi. Ziemi jest 9 hektarów, z te-
go połowa ornej. Olejnikowie nie
szczędzą sił i jakoś z biedą wywią-
zują się z obowiązków. Niekiedy
zwlekają z zapłatą podatków, bo w
gospodarstwie nie ma stałego dopły-
wu pieniędzy, jaki przy obfitości łąk
dać może hodowla bydła. Członkowie
komisji rolnej GRN znają tarapaty
gospodarza. Nieraz — już z nim

rozmawiali. Olejnikowi zapro-
ponowano udzielenie kredytu banko-
wego w wysokości 80 tysięcy złotych
na budowę obory i domu. Gromadz-
ka rada poparła wniosek. Przesłano
go do Powiatowej Rady Narodowej
w Biskupcu.

Józef Garbacik parę lat temu kupił
gospodarstwo w Głęboczycy, w po-
wiecie Mińsk Mazowiecki. Znajdowa-
ło się w kompletnej ruinie, gdyż
ziemia i zabudowania długi czas były
opuszczone przez poprzedniego wła-
ściciela. Nowy nabywca z zapalem
zabrał się do pracy. Tymczasem Wy-
dział Finansowy przypomniał sobie o
zadłużeniach ciążyących na gospodar-
ce. Od nowego nabywcy zażądano
spłaty starych długów w wysokości
przeszło 50 tysięcy złotych. Garba-
cikowi i jego rodzinie opadły ręce. I
gospodarstwo zaczęło chylić się do u-
padku. Dopiero wniosek GRN o u-
morzenie albo rozłożenie zaległości
na dogodne raty, umożliwił dalsze go-
sposodarowanie.

JULIA Wyczawska we wsi Szczyt-
no, w pow. Jarosław, ma już
przeszło 60 lat. Jest samotna i z tru-
dem daje sobie radę z coraz bardziej
marniejącą gospodarką. Już chciała
ją przekazać pobliskiemu klasztorowi,
ale właśnie wyszła ustawa, gwa-
rantująca jej rentę w zamian za prze-
kazywanie gospodarstwa państwu. Per-
traktuje więc z gromadzką radą. Chce
przekazać gospodarstwo na 10 lat, a
później podejmie ostateczną decyzję.

Do wydzwignięcia gospodarstwa z
upadku nie zawsze potrzebna jest
pomoc finansowa. Niekiedy wła-
ściwsza jest życzliwa opieka agrono-
ma, albo instruktora kontraktacji,
który poradzi, jak uprawić glebę,
gdzie, kiedy i co zasieć.

Pierwsze kroki rad narodowych w
sprawie podupadłych gospodarstw
świadczą o ludzkim podejściu, o nie
żałowaniu trudu dla rozpoznania
przyczyn upadku i dla szukania spo-
sobów uzdrowienia tych gospodarstw
siłami dotychczasowych właścicieli.
A o to przecież chodzi, by przyjąć
ludziom i ziemi z pomocą. A tylko
w wypadkach jawnego nierobstwa i
niechcianstwa czy braku sił zastosować
przejmienie, pozwalające na przejęcie
gospodarstwa przez państwo.

(BOJ.)

Sprzątaczką

MARIA CHMIELEWSKA jest
sprzątaczką w jednej z GS w woj. ko-
szalińskim. Celowo nie podajemy
bliższego adresu tej GS. Bo choć to
właśnie pracownica tej spółdzielni
napisała do naszej redakcji, wiadomo
nam, iż jej sprawa ma zasięg znacz-
nie ogólniejszy.

Marii Chmielewskiej podsunęto do
podpisu umowę o pracę. Podpisała
nie czytając. Bo i po co — myślała.
— Zakres czynności sprzątaczką jest
chyba wszędzie ten sam. Okazało się,
że wcale nie — nawet w tej samej
spółdzielni. Inna pracownica bowiem
zatrudniona przy sprzątaniu baru,
otrzymywała osobną zapłatę za raba-
nie drzewa i palenie w piecach —
i wyższą pensję niż Maria, kierowana
do znacznie cięższej pracy — w go-
spodzie.

Maria przepracowała w gospodzie
miesiąc — i drugi. Wreszcie napisała
do redakcji — nawet się nie skarżąc,
pytając tylko: ile można sprzątać?
I wyliczyła: utrzymywać w porządku
wszystkie pomieszczenia gospody —
razem ponad 400 metrów kwadrato-
wych powierzchni; przenosić skrzynie
z butelkami z magazynu, palić w pie-
cach i rąbać drzewo (trzeba było co
tydzień przygotować zapas na pod-
pałkę, bo jakoś nigdy nie znajdowali
się ludzie, którzy mogliby wykonać
tę robotę!). I jeszcze na dodatek:
wiórkowanie i pastowanie ogromnej
sali dansingowej (blisko 150 metrów
kwadratowych!). Czy to nie za wiele?

Prezes GS, któremu postawiliśmy
to pytanie wraz z inspektorem Woje-
wódzkiej Komisji Związków Zawodo-
wych, by zdziwiony. — Przecież to
nie jest robota dla jednej sprzątaczkii.
Myślimy zatrudnić tam dwie!

Przy bliższym zbadaniu sprawy
rychło okazało się, że ta druga była
właściwie statystką przy ciężkiej pra-
cy, co było zrozumiałe, gdyż właśnie
wybierała się na urlop macierzyński.
Punkt po punkcie udowodniono więc
prezesowi GS, że większość roboty —
i to także roboty nie ujętej w umo-
wie — spadła na Marię Chmielewską.

Co zaś do samej umowy, okazało
się, że zakres czynności sprzątaczkii
wyliczono w niej mechanicznie, to
znaczy ani przez chwilę nie zastana-
wiając się, czy pracownica podola

Dokończenie na str. 11

rzem najrozmaitszych odcieni (nawet
czarne smuszki nie wszystkie są jed-
nakowe — są z granatowym poly-
skiem, są i z brązowym), ale róż-
nią się jeszcze i pod względem formy
łoków. Łoki mogą mieć kształt dłu-
gich, powyginanych wałków, mogą
być podobne do bobu, to znów do
korkociągu albo też do grzywkii. Do-
dajmy, że łoki tego samego kształtu
— na przykład w kształcie wałków
— mogą być bardziej płaskie lub
bardziej wysokie, mogą być gęstsze
lub rzadsze. Ich naturalny połysk
może być silniejszy lub słabszy, a
włos mniej lub bardziej jedwabisty.
Na koniec, łoki tego samego kształtu,
o jednakowym połysku i tej samej
gęstości czy jedwabistości, mogą ukła-
dać się w różne wzory. Czasem na
przykład łoki układają się na krzyżu
jagnięcia w kształcie litry. Inne znów
przebiegają równolegle jak bruzdy
na polu.

Należy jeszcze wspomnieć o smusz-

ne! Łoki ich są bardzo gęste i ścię-
lą się nisko przy samej powierzchni
skórki, dzięki czemu wyglądają jak
jedwabna mora. Rzecz jasna, że ka-
rakuleczka jest bardzo rzadka i bardzo
wysoko ceniona.

Ostateczna obróbka smuszek — któ-
ra zaczyna się od kwaszenia w wi-
lkich kadziach — dokonywana jest w
specjalnych zakładach. Ale zanim zo-
staną one tam dostarczone, należy je
zakonserwować, by nie uległy znisz-
czeniu po drodze. A więc zaraz na
miejscu, w stepie czy w pustyni ze-
skrobuje się nożami resztki mięsa z
odwrotnej strony skórki. Potem na-
stępnie solenie i suszenie na powie-
trzu, co w warunkach upalnej i su-
chej Azji Środkowej nie trwa długo.

Zbyt mało mamy czasu, by zajrzeć
do zakładów, gdzie smuszki podda-
wane są ostatecznej obróbce. Zatrzy-
majmy się raczej jeszcze na chwilę
w pustyniach czy stepach, gdzie spe-
dzają całe swe życie te nie znające
owczarni owce. Czaban, który je
strzeże — tak się tu nazywa pasterz
— to wielki znawca wszystkiego, co
dotyczy owiec. Zazwyczaj zaczyna ja-
ko pomocnik czabana jeszcze w chło-
pięcym wieku i często nie rozstaje
się z owcami aż do sędziwych lat.
Nie tylko zna on swoje owce, ale i
kocha je. Owce wraz z dziką przyro-
dą stepów i pustyni to jego życie. Po-
trafi odróżnić każdą owcę w stadzie
do ośmiuset głów. Raz zdarzyło mi
się wyjechać z grupą zootechników
do stad w pustyni. Gdy już byliśmy
w stadzie, udało mi się jakoś złapać
jedną z tych półdzikich owiec kara-
kulowych, która zaczęła rozpaczliwie
szamotać się w moich rękach. Cza-
ban, stojący o jakieś dobre 50 me-
trów ode mnie, krzyknął: — Uwaga!
Ona ma naderwane ścięgno w lewej
tylnej nodze. Poznał ją natychmiast.

J. ROSSI



kach zwanych karakuleczka. Są to skór-
ki jagniąt przedwcześnie urodzonych
lub wyjętych z martwej matki.
Smuszki te są rzeczywiście przepięk-

GDYBYM TO JA MIAŁA

Stems oprac. ZDZISŁAW PYZIN

Współp. STANISŁAW HADYNA

Umiarkowanie. śpiewanie (Moderato cantabile)

Gdy-bym to ja mia-ła

skrzy-deł-ka jak ga-ska, po-le-cia-ła-był-ja

za Ja-skim do Śl-aska Le-cę po-nad ga-tem, le-cę po-nad

wo-da szu-kac, gdzie ja-ma sre-gro-le-sy wio-da,

Gdybym to ja miała skrzydełka jak gaska,
poleciałabym ja za Jaskiem do Śląska.
Lecę ponad gajem, lecę ponad wodą,
szukać, gdzie to Jasia srogie losy wiodą.

Próżno, dziewczę, gaską ponad ziemią lataś,
nie odnajdziesz Jasia w lasach ani w chatach.
W chłodnej ziemi głębi Jasio twój pracuje,
w skalach z górnikami czarne ganki kuje.

Gwiazdy srebrne, gwiazdy, dajcie swych promyków
wezmę je dla Jasia, wezmę dla górników.
Dajże mi swych blasków, słonko na błękitcie,
niech mój Jasio górnik ma słoneczne życie.

ZYCZENIA DLA POLSKI

W WIELKICH salach na Krem-
lu jarzyły się światła. Ponad
półtora tysiąca gości witało
Nowy Rok.

Nikita Chruszczow, jak zwykle o-
błążony przez korespondentów, zar-
tował, wznosił toasty, przeprowa-
dzał rozmowy. A korespondentowi
Polskiej Agencji Prasowej, któremu
udało się doń przycisnąć — przekazał
życzenia dla narodu polskiego.

— **Życzę z głębi serca** — powie-
dział premier Chruszczow — **utalen-
towanemu narodowi polskiemu dalszych
sukcesów w budownictwie so-
cjalistycznym Polski Ludowej, w
umacnianiu pokoju na świecie i
przyjaźni między narodami. Życzę
członkom Polskiej Zjednoczonej
Partii Robotniczej z naszym wiel-
kim przyjacielem, towarzyszem Wła-
dysławem Gomułą na czele bar-
dzo dużo zdrowia, długich lat ży-
cia i radości.**

Życzenia z okazji Nowego Roku
składali sobie mężowie stanu, wymie-
niali depeche, znajomi — uściski dło-
ni i życzenia osobistej pomyślności.

NASZA ENCYKLOPEDIA

Co to znaczy?

Czy określenie dziewczyny jako ko-
kietki jest dla niej obraźliwe? — za-
pytuje Alina J. z pow. miechowskie-
go.

Kokieteria — to chęć podobania
się innym, wyrażająca się w zachowa-
niu, stroju itp. Kokieterie można
zastąpić czysto polskim określeniem
zalożność.

A więc kokietka to osoba, która
stara się podobać. W jednej z po-
wieści przeczytałam niedawno, że
dziewczyna: „kokietowała go oczami,
ruchami, półśmiewkami, uśmiechem”.

A więc kokietka nie ma w zasadzie
obraźliwego znaczenia, jeśli kokiete-
ria utrzymana jest we właściwych
granicach.

Jan L. z Białegostoku prosi o wy-
jaśnienie słowa interpretacja.

Interpretacja jest to wyjaśnienie,
tłumaczenie, komentowanie czegoś.

A więc na przykład ukazują się
jakieś nowe przepisy. Jak je należy
rozumieć i stosować. Zajmuje się
tym **interpretator**, tłumacz i komen-
tując je w sposób dostępny dla sze-
regowego ogółu. Ktoś może np. źle in-
terpretować dany przepis, czyli nie-
właściwie go rozumieć.

Istnieje i drugie znaczenie słowa
interpretacja, a mianowicie: sposób
odtworzenia, wykonania utworu mu-
zycznego, literackiego.

Na przykład niemal każdy recyta-
tor ma swój własny sposób interpre-
tacji poezji. Inny przykład, tym ra-
zem z muzyki. Niedostępną interpre-
tatorką pieśni Karola Szymanow-
skiego była jego siostra Stanisława
Korwin-Szymanowska.

Stanisław K. z Nysy prosi o wy-
jaśnienie słów priorytet i profit.

Priorytet — to pierwszeństwo. Naj-
częściej słowo to stosowane jest u nas
w budownictwie i w produkcji. Tak
więc np. produkcja eksportowa może
mieć priorytet w dostawach surow-
ców. To znaczy, że surowce potrzebne
do danej produkcji otrzymują przede
wszystkim te zakłady, które produ-
kują na eksport.

Profit — to często dawniej stoso-
wane określenie korzyści, zysku. Nie
chodzi tu zresztą jedynie o korzyści
materiałowe, choć i w tym znaczeniu
słowo to jest stosowane. Również
jednak ktoś może mieć profit — czyli
korzyść z przedstawiania z ludźmi o
wysokim poziomie umysłowym, od
których wiele się można nauczyć.



Ale każdy rozumiał, że pomyślność
jednostek zależy od spraw wspól-
nych wszystkim ludziom i narodom
— a w pierwszym rzędzie — od per-
spektywy trwałego pokoju.

DROGA POROZUMIENIA

REDAKCJA angielskiego dzien-
nika „Sunday Express” zwróciła
się do premiera ZSRR z prośbą o
wywiad na temat problemów mię-
dzynarodowych, aktualnych w no-
wym roku. Udzielając wywiadu Ni-
kita Chruszczow mówił o rozbroje-
niu, o zakazie doświadczeń atomo-
wych, o potrzebie uregulowania sy-
tuacji w Berlinie zachodnim.

W jaki sposób można osiągnąć po-
rozumienie w tych sprawach?
„Związek Radziecki — powiedział —
poczynił szereg konkretnych u-
stępstw, wychodząc naprzeciw ży-
czeniu Zachodu. Między innymi,
uwzględniając obawy mocarstw za-
chodnich przed wycofaniem swych
wojsk z Berlina zachodniego —
ZSRR zaproponował, aby wojska
pozostawały przez jakiś czas w tym
mieście, ale nie pod flagą Paktu A-
tlantyckiego, lecz pod flagą Orga-
nizacji Narodów Zjednoczonych”.

„Chruszczow wzywa do kompro-
misów — jako jedynej drogi unik-
nięcia wojny jądrowej” — napisał
jeden z dzienników amerykańskich.
„Chruszczow proponuje powrót do
czasów prezydenta Roosevelta” —
stwierdził inny dziennik, komentu-
jąc słowa radzieckiego premiera.
Istotnie, premier Chruszczow pod-
kreślił szczególną odpowiedzialność
dwu największych mocarstw — Sta-
nów Zjednoczonych i Związku Ra-
dzieckiego — za losy pokoju na
świecie. Wezwał też Stany Zjedno-
czone do uczynienia wszystkiego, a-
by stosunki radziecko-amerykańskie
ułożyły się na dobrej, a jeśli to mo-
żliwe, na przyjaznej podstawie.

Zwrócił przy tym uwagę, że co-
raz większą rolę w walce o pokojo-
we współistnienie i o zapewnienie
trwałego bezpieczeństwa mają
wszystkie państwa, wielkie i
małe i że od wspólnych wysiłków
wszystkich narodów zależy dzisiaj
zachowanie pokoju.

KONGO — ROZWIĄZANIE KRYZYSU?

OD WIELU miesięcy sekretarz
generalny ONZ — U Thant czyni
wysiłki, żeby doprowadzić do
zjednoczenia Konga. Ale wysiłki te
były daremne. Czomba, przywódca

Katangi, najbogatszej prowincji,
gdzie skupione są cenne surowce
mineralne, grał na zwłokę. Konfe-
rował z centralnym rządem Konga,
z jego premierem Adoulą, podej-
mował zobowiązania przyłączenia
Katangi do reszty kraju, po czym
wracał do siebie, do Elisabethville
i oświadczał, że zobowiązań tych
nie wykona.

U Thant próbował namówić An-
glię, Francję i Belgię, aby przerwały
zakupy surowców z Katangi, chcąc
naciskiem ekonomicznym zmusić
Czombego do ustępstw. Ale mocar-
stwa te, od dawna korzystające z
bogactw tej prowincji kongijskiej,
popierały po cichu Czombego, gdyż
podział Konga byłby wygodny z ich
kolonialnego punktu widzenia.

27 grudnia wojska ONZ przystą-
piły do zbrojnej akcji, mającej na
celu likwidację rozbicia Konga. Po-
parcia udzielił tej akcji rząd Sta-
nów Zjednoczonych, który żywi na-
dzieję, że uda mu się przez to uzy-
skać wpływy w tym kraju i uło-
rować drogę amerykańskim kapita-
łom.

Po drugie — rząd USA chciał
wzmocnić pozycję proamerykańskie-
go premiera Konga — Adouli, któ-
ry ostatnio miał coraz większe tru-
dności z własnym parlamentem.
Parlament ten zażądał m. in. uwol-
nienia więzionego wicepremiera Gi-
zengi, a kiedy przybyła do Konga
misja wojskowa USA — uznał to za
ingerencję w wewnętrzne sprawy
kraju.

W chwili, kiedy oddajemy numer
„Przyjaciółki” do druku — siły ONZ
opanowały już niemal całą Katan-
gę. Czy jednak zjednoczenie Kon-
ga równoznaczne będzie z szybkim
przywróceniem pokoju i pełnej nie-
zależności temu krajowi — o tym
wątpią najbardziej nawet optymi-
styczni obserwatorzy.

W DWÓCH ZDANIACH

PODCZAS gdy w Nowym Jorku do-
biegały końca rokowania na temat
rozwiązania kryzysu kubańskiego —
Kuba obchodziła 2 stycznia swoje
czwarte święto narodowe — roczni-
cę rewolucji, która uwalniła ten
kraj od dyktatury i od zależności od
Stanów Zjednoczonych.

21 STYCZNIA kanclerz Adenauer,
który 5 bm. skończył 87 lat, udaje
się do Paryża, gdzie przeprowadzić
ma rozmowy z prezydentem de
Gaullem.

ARA

Nie mów: Oczekuję na list

Mów: Oczekuję listu

„ambrozja” dostępny jest każdemu
śmiertelnikowi” że „Sól do nóg Ja-
na czyni cię zdrowym i lekkim”,
a „Kokosał” usuwa brud z wszelkie-
go rodzaju tkanin”. Jakże to proste
— myśli sobie czytelnik — idziesz do
sklepu, wypowiadasz magiczną for-
mułę: „Sól Jana”, „Kokosał”; albo
„Ambrozja” i już jesteś posiadaczem
upragnionej rzeczy. Byłbyś... ale nie
jesteś. Dlaczego? — Bo nie ma! Ani
w jednym, ani w drugim, ani w trze-
cim sklepie. Ani w jednym, ani w
drugim, ani w trzecim mieście.

Więc się dziwisz i nie rozumiesz.
Skoro zachęcają do kupna, skoro po-
lecają, skoro proszą — słowem —
skoro reklamują, ogłaszają w gazo-
tach — to dlaczego nie ma tego w
sprzedaży? Jeżeli nie ma tych pro-
duktów — to po co je reklamują?

Czytelniczki zwróciły się do mnie
z prośbą o rozwiązanie tej zagadki.
Dla Koszałki jest to rzecz dziecinnie
łatwa.

Po prostu w takim ogłoszeniu, któ-
re nie jest niczym innym jak zakle-
ciem magicznym — zapomniano naj-

TV

14-20.1.63

Poniedziałek: 17.06 — Dla dzieci: 1.
„Zrobimy to sami”. 2. „Jacek-Spiroszek”
— film. 17.30 — TV Kurier Warszawski.
18.20 — „Eureka”. 18.50 — „W rytmie pio-
senki”. 20.10 — „Kino krótkich filmów”.
20.45 — Teatr TV: „Dym” — W. Faulkne-
ra.

Wtorek: 17.20 — „Rekordzista” — film
sportowy dla młodz. (pol.). 17.40 —
„Drzewko mądrości” — teleturniej. 18.45
— „Gimnastyka” — program z cyklu:
„Na zdrowie”. 19.00 — Recital duńskiej
pianistki Vibeke Warlev. 20.05 — „Nauka
a przemysł”. 20.35 — „Nauka tańca łowa-
rskiego”. 20.55 — „Dwaj żołnierze” film
fab. (radz.) doz. dla młodz.

Sroda: 17.05 — Klub Myszki Miki. 17.50
— „Rzecz o Januszu Korczaku”. 18.40 —
„Pejzaż z konfliktem” — publicystyka
młodz. 20.10 — „Narodziny racjonalizmu”.
20.40 — „Awans” — prog. publ. 21.15 —
Film ang.

Czwartek: 17.05 — Dla dzieci starszych
„Dla każdego coś miłego”. 17.50 — „La-
sica” — film z serii: „Opowieści z nad-
rzecki”. 18.05 — PKF; 18.15 — Nie tylko
dla pań”. 18.50 — Koncert muzyki rozryw-
kowej. 20.05 — „Dojrzałość miasta” — rep.
film. 20.40 — „Szczęściarz Antoni” — film
prod. pol.

Piątek: 17.55 — Dla dzieci starszych
„Legenda krakowska”. 18.25 — „Mini-
atury”. 18.55 — „Wielkie moce” — prog-
ram z cyklu: „W pracowniach polskich
uczniów”. 20.10 — „Pigmason” — ko-
media G. B. Shawa. Transm. z Teatru
Polskiego w Warszawie.

Sobota: 17.05 — Dla młodzieży: telekon-
kurs „Wasze miasto”. 18.30 — „Kwadrans
piosenek”. 18.45 — Sprawozdanie sporto-
we. 20.05 — „Oficyna Pegaza”. 20.40 —
„Droga do Marsylii” — film fab. USA
od 1. 16. 22.35 — „Muzyka lekka, łatwa i
przyjemna”.

Niedziela: 9.00 — TV Kurs Rolniczy:
„Przygotowanie nasion”. 10.00 — Dla dzie-
ci: telekonkurs „Szkoła astronomów”.
12.00 — Sprawozdanie sportowe. 14.10 —
Poranek muzyczny. 15.00 — Niedzielną
Biesiadą. 15.45 — PKF. 15.55 — Teatrzyk
dla przedszkolaków: „Dwie Anie”. 16.30 —
„Chwila wspomnień” — filmowa kronika
z roku 1922. 17.00 — „Kabaret Starszych
Panów” — Niespodziewany koniec lata
(powtórzenie). 18.20 — „V Mistrzostwa Ki-
biców Sportowych” — teleturniej. 20.10 —
„Książki” — progr. publ. 20.25 — Sporto-
wa Niedziela. 20.55 — „Liliomfi” — film
fab. (węg.) od 1. 16.



Koszałek Opalek

Zgubione słowo

Kiedy opowiadam dzieciom bajki,
najbardziej pociągają je te fragmen-
ty, w których mowa o tajemniczych
zaklęciach, czarnoksiężskich przepi-
sach i w ogóle o tajemniczych siłach.
Na przykład wystarczy użyć formuły:
„Stoliczku nakryj się”, aby stolik u-
ginał się od wspaniałych potraw. Siedmiomilowe buty przenoszą w
przestrzeni szybciej od rakiety, a pro-
ste słowa „Sesamie, otwórz się” —
otwierają drzwi do największych
skarbów.

Do tej pory byłem pewny, że takie
zaklęcia istnieją tylko w bajkach. Ale
przekonałem się, że i w życiu spot-
kać można magiczne formuły. Czy-
tasz na przykład: że „napój bogów

widoczniej jakiegoś słowa i dlatego
formuła nie działa.

Jeżeli takie wyjaśnienie sprawy
wydaje się Wam niewystarczające —
to może znajdziecie inne?...



WASZ KOSZAŁEK
(Na podstawie listu St. D. z Kępna
woj. poznańskie i Z. K. z Warszawy)

Śladem naszych interwencji

Michał Tyburecy ze wsi Kwiecieńsko miał trudności z uzyskaniem należnej mu zapłaty za przedterminową dostawę trzody chlewnej na rok 1963. Dla wyjaśnienia tej sprawy skierowaliśmy otrzymaną od niego list do Ministerstwa Przemysłu Spożywczego i Skupu — Departament Skupu i Kontraktacji.

Departament Skupu i Kontraktacji zalecił PPRN spowodowanie, by Gmina Spółdzielnia w Rębiszowie zapłaciła Michałowi Tyburecy należną mu różnicę cen.

BĘDZIE BIBLIOTEKA I ŚWIETLICA

Mieszkańcy wsi Wikłów w liście do redakcji narzekali na brak możliwości zorganizowania w swojej wsi życia kulturalnego. Zainteresowaliśmy tą sprawą Wydział Oświaty i Kultury Powiatowej Rady Narodowej w Radomsku. A oto odpowiedź jaką otrzymaliśmy:

„Po zbadaniu sytuacji we wsi Wikłów postanowiono od 1 grudnia 1962 r. uruchomić tam punkt biblioteczny — biblioteki gromadzkiej w Kruśnicy... Wydział Oświaty i Kultury przydzieli również w najbliższym czasie szkołę w Wikłowie radiodbiornik, z którego korzystać będą mieszkańcy wsi. Zakupimy również kilka kompletów gier stolikowych.

Przeprowadzono rozmowę z kierownictwem tamtejszego nadleśnictwa. Kierownik tej instytucji, a jednocześnie radny Powiatowej Rady Narodowej, ob. Marian Łaskawiec, przyrzekł, że od wiosny 1963 roku będzie w stanie przeznaczyć na świetlicę dwa lokale i częściowo wyposażyc je.”

Ale, jak słusznie stwierdza Wydział Oświaty i Kultury w Radomsku, mieszkańcy Wikłowa muszą także wykazać inicjatywę i pomoc w organizowaniu w swojej miejscowości życia kulturalnego.



Gdy dziecko jest pierwszy raz w życiu na ślizgawce, powinno zacząć naukę od samodzielnego chodzenia po lodzie. Nie jest wskazane trzymanie dziecka za rękę. Powinno ono chodzić samo, uginając nogi w kolanach, pochylając lekko

Po opanowaniu chodzenia, rozpoczyna się nauka właściwej jazdy przodem. Należy odbijać się całą krawędzią łyżwy, a nie jej szpicem. Ustawiamy stopy tak, jak pokazano na rysunku.

Dziecko powinno przyzwyczajać się jeździć rytmicznie raz na jednej, raz na drugiej nodze, a nie jak na hulałnodze. Rozwinie to równomiernie mięśnie obu nóg.

Przy jeździe tyłem posuwać się należy po lodzie początkowo na dwu nogach linią wężkową (patrz rysunek 2). Dużą rolę odgrywa przy tej



tulów do przodu i wyciągając ręce przez siebie. Zasada ta obowiązuje przy całej początkowej nauce, gdyż zabezpiecza przed upadkami na tył głowy.

Trzeba również zwrócić uwagę, aby dziecko nie trzymało sztywno rąk — utrudnia to utrzymanie równowagi i może spowodować, przy niefortunnym upadku, złamanie górnej kończyny.

Często się zdarza, że dziecko przy chodzeniu na łyżwach krzywi nogi. Przeważnie przyczyną tego są zbyt obszerne buty o niskich cholewkach. Przeciwdziałamy temu, bandażując stopę (najlepiej bandażem elastycznym) w podbiciu i kostce „w ósemkę”.



jeździe silne skrety bioder i uginanie nóg w kolanach — dobre ćwiczenie gimnastyczne dla dzieci.

Barbara Gutawska
Trener I klasy łyżwiarstwa
figurowego

K o n k u r s

„Czego brak, co robisz?”
rozstrzygnięty

5.143 Czytelników „Przyjaciółki” uczestniczyło w konkursie zorganizowanym przez naszą redakcję i Zjednoczenie Przemysłu Środków Poiraczych i Kosmetyków (ogłoszony był w Przyjaciółce Nr 46/765 z dnia 18.XI.62 r.).

W myśl regulaminu należało odgadnąć oraz dorysować lub opisać czego brak w konkursowych rysunkach i napisać hasła zgodne z ich treścią.

W nadesłanych rozwiązaniach znajdowała się dość pokazna ilość trafnych, często bardzo dowcipnych hasel, a nawet wierszyków. Gwoli sprawiedliwości musimy przyznać, że także wiele osób nie spełniło warunków konkursowych. Czytelnicy Ci zostali wyłączeni z losowania.

W dniu 21.XII.62 r. odbyło się w lokalu tyg. „Przyjaciółka” komisyjne losowanie nagród. Oto nazwiska nagrodzonych:

PIERWSZA NAGRODA —
PRALKA — Elżbieta Pawlaczek z Gniezna.

DRUGA NAGRODA —
ODKURZACZ — Irmgarda Drung z Kluczborka.

TRZECIA — WYŻYMACZKA — Danuta Łuźna z Zielonej Góry.

CZWARTA I PIĄTA — komplety bielizny pościelowej — Anna Panas z Chelma Lubelskiego i Wiktoria Tomczyk z Rądziszewa.

Nagrody od 6 do 15 w postaci zestawów kosmetycznych otrzymują: Marian Ciesielski z Łodzi; Jolanta Wajda z Częstochowy; Ewa Golechowicz z Łagiewników Kościelnych; Helena Kacprzak z Warszawy; Barbara Mruk z Krakowa; Zofia Gasiorowska z Ostródy; Genowefa Wawrzuta ze Szczyrku; Jadwiga Fuszara z Węgrowa; Alfreda Wojciechowska z Jędrzyna; Barbara Kowalska z Osiedla Leśnego.

Nagrody wysłamy pocztą. Zestawy kosmetyczne zostaną wysłane, gdy tylko minie fala mrozów. Niektóre opakowania bowiem źle znoszą niską temperaturę.

Serdecznie gratulujemy tym, którym się poszczęściło, pozostałym uczestnikom życzymy szczęścia w następnych konkursach.

4 PORY ROKU w kuchni

(30)

Kluski francuskie są podobne do kładzionych, ale bardziej pracochłonne, smaczniejsze, luksusowe. Stosuje się je jako wykwintny dodatek do zup, rosółów itp. Są bardzo odżywcze i łatwo strawne. Na 50 dek g maki pszennej bierze się: 2 jaja, 4 deka masła, nieco soli i ewentualnie 5 gramów pietruszki zielonej. Pietruszkę bardzo drobno posiekać. Makę przesiać. Utrzeć masło i wbić do niego po 1 żółtku, ucierać aż do otrzymania jednolitej masy. Dodać pietruszkę, nieco soli. Ubić sztywną pianę z 2 białek. Dodać ją do masy, dodać makę, delikatnie wymieszać. Nabierać łyżką równe kształtem i wielkością „wrzecionka” i kłaść na wrzącą, osoloną wodę. Gdyby się przypadkiem ciasto rozplątało w wodzie, dodać trochę maki. Gotować aż kluski wypłyną, odcedzić i od razu kłaść na talerze.

Kluski krajane i na pierogi. Z ciasta na tego typu kluski sporządza się: kluski, łazanki, makaron domowy, pierogi i uszka. Można jaj nie dodawać, choć z jajami ciasto jest lepsze. Na 80 dek maki do wyrobu klusek i makaronu można dodać 4 jaja. Do wyrobu ciasta na pierogi najlepiej wcale jaj nie dawać lub najwyżej jedno. Do ciasta na pierogi dodaje się na 1 kg maki około pół litra wody. Do ciasta na makaron dajemy na 1 kg maki około 1/3 litra wody. Ciasto wyrabiamy na stolnicy, robiąc w mące szerokie wgłębienie, do którego wbijamy jaja i wlewamy wodę. Naprzód mieszamy nożem, potem wyrabiamy rękami. Gdy ciasto stanie się elastyczne i przestanie się lepić, a przekrój okaże się porowaty, przystępujemy do wałkowania i krajania. Wałkujemy od środka we wszystkich kierunkach, nadając ciastu kształt koła lub prostokąta. Na kluski i łazanki grubość ciasta powinna wynosić około 2 milimetrów, na makaron około 1 milimetra. Podczas

Sprzątaczką

(Dokończenie ze str. 9)

tym obowiązkiem w czasie ośmiogodzinnego dnia pracy. I nie podobała. Aby jednak wykonać „zadanie”, pracowała do późnego wieczora, a także w każdą niedzielę i święto bez dodatkowego wynagrodzenia!

— W naszym kraju pracodawcy nie wolno wykorzystywać nieświadomości pracownika — mówi ostro inspektor Związków Zawodowych. — Jak to było z wiórkowaniem i pastowaniem tej posadzki? Tego sprzątaczką nie ma w umowie! Podobnie nie ma rabania drzewa!

— Ona nam nie wystawiła rachunku za te prace. Gdyby wystawiła — zapłacilibyśmy — bronią się prezes GS i kierownik gospody.

Wskutek interwencji inspektora Związków Zawodowych ustalono teraz: — roszczenia pracownicy za zajęcia w godzinach nadliczbowych i w dni świąteczne — będą uwzględnione. Na dalszą pracę w godzinach nadliczbowych — jeśli to okaże się konieczne — musi być podpisana specjalna umowa (za zgodą Związku Zawodo-

wego) i przyznane dodatkowe wynagrodzenie.

Jeśli chodzi o podstawowe zadania sprzątaczką — musi zebrać się komisja normowania pracy, aby ustalić, jakie zajęcia mieszczą się w ośmiu godzinach sprzątania dziennie.

Podkreślamy tutaj dobrą wolę prezesa GS: nie sprzeciwiał się, od razu uznał słuszność przedstawionych mu argumentów i roszczeń pokrzywdzonej.

Ale przecież i przedtem wiedział, że zakres czynności pracownika musi być ustalony przez komisję! Nie zrobiono tego. Na co liczył zarząd GS? Na nieświadomość pracownicy? Na to, że „jakoś to będzie”?

— Nie tylko w tej GS napotykałyśmy omijanie przepisów. Zwłaszcza przepis o obowiązku normowania pracy jest systematycznie lekceważony — wyjaśniono nam w okręgu Związku Zawodowego.

Wypada teraz powtórzyć:

Sprawa Marii Chmielewskiej ma zaś eg znacznie ogólniejszy. Uznanie roszczeń pracownika w tym jednym wypadku — nie złatwi tego problemu. Potrzebna jest tu szeroka i systematyczna kontrola przestrzegania przepisów prawa pracy w różnych instytucjach wiejskich.

T.

Chrońmy kury

Gdy zimno w kurniku, lub gdy kury nie mają się gdzie schronić i marzną po kątach podwórka, ich chów się nie opłaca. Ptak zużywa wówczas wiele energii na ogrzanie własnego ciała, znacznie więc wzrasta zapotrzebowanie na paszę, a nieśności nie ma.

Poza odpowiednim kurnikiem i żywieniem (pisaaliśmy o tym w numerze 47 i 50) należy dbać, by kury, dla utrzymania ciepła, miały jak najwięcej ruchu. Należy więc zachęcić je do grzebania, rzucając od czasu do czasu ziarno w ściółkę, oraz zawieszając kapustę i buraki do dziobania tak, żeby kury musiały podfruć i podskakiwać.

Trzeba też urządzić kurom w rogu kurnika kąpiel piaskową z dodatkiem popiołu drzewnego i azotoksu dla tępienia pasożytów.

Niektórzy hodowcy twierdzą, że bardzo dobre wyniki daje urządzenie kurom oddzielnej „sypialni”, przez wydzielenie części kurnika. Pomieszczenie to służy kurom tylko do spania. Oblicza się około 15 kur na 1 metr kwadratowy podłogi. Umieszcza się tam grzędę na wysokości około 90 cm. Podgrzędzia są niepotrzebne. Kał spada na

głęboką, najlepiej torfową ściółkę, lub do specjalnych skrzyń na nawóz, zabezpieczonych od góry siatką. Liczy się 20–25 cm bieżących grzęd na jednego ptaka.

Rodzaj „sypialni”, szczególnie podczas większych mrozów, można urządzić, ogradzając na noc matami słomianymi miejsce z grzędami, gdzie kury śpią.

W zimie wypuszcza się kury na dwór tylko na parę godzin w południe, gdy jest słoneczna i ładna pogoda, a mróz nieduży. W czasie deszczu, wiatru i podczas mrozu większego niż 5–6 stopni, kur nie wypuszczamy. Należy również pamiętać, ażeby wilgotne pasze podawane kurom były ciepłe, co można uzyskać przez podawanie świeżo uparowanych ziemniaków lub zaparzonego suszu.

M. M.



Gospodarnie i bez szkody dla hodowcy

W Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” nie było żadnego ogłoszenia uprzedzającego, że coś się zmienia w dotychczasowej praktyce sprzedaży pasz. Tymczasem, gdy poszłam z kwiłami do magazynu po paszę na zakontaktowane bekonki, spotkałam się z odmową sprzedaży, choć magazyn był pełny. Powiedziano mi, że kwiły na zakup paszy są ważne tylko przez jeden miesiąc.

Dotychczas odbieraliśmy paszę wtedy, kiedy była w magazynie i nikt dokładnie nie pilnował daty. Ja podpisałam umowę na dostawę 8 bekonów w miesiącach: grudniu, styczniu i lutym. Liczyłam na pomoc paszową w ich wykarminieniu. Czym je teraz mam tuczyć? Czyżby stwarzaniem specjalnych przeszkód w odbiorze paszy ktoś chciał zrazić gospodarzy do hodowli?

I. M.

Dąbrowa Biskupia
pow. Inowrocław

W tym roku sytuacja paszowa jest wyjątkowo trudna. Dlatego też Rząd podjął szereg kroków, związanych z pomocą paszową z góry zastrzegając, że są one doraźne dla dopomożenia hodowcom w ciężkim okresie, aż do nowych zbiorów w 1963 r. Między innymi wprowadzona została, nie stosowana do tej pory, pomoc paszowa na maciory: podwyższone i zróżnicowane zostały, zależnie od urodzajów w danym terenie, przydziały pasz na tuczniki.

Dla rozszerzenia pomocy paszowej państwo sprowadziło z zagranicy 600 tysięcy ton więcej zboża niż w poprzednim roku, kosztem wyrzeczenia się innych, też potrzebnych zakupów. Równocześnie trzeba było wprowadzić oszczędną gospodarkę zapasami paszy. Ale bynajmniej nie ze szkoda, lecz z korzyścią dla hodowli. Rozsądnej gospodarce paszami sprzyja terminowe

zabieranie przydziałów z magazynów GS. Zdarza się bowiem, że rolnicy rezygnują z przydziałów i wówczas w jednej GS gromadzą się nadwyżki pasz, gdy w innej występuje niedobór. Ponieważ jednak w listopadzie, a jeszcze i w grudniu ubiegłego roku pierwsze dostawy pasz były nieregularne i rolnik nie z własnej winy nie mógł odebrać należnego mu przydziału — jak zapewnił nas dyr. Zakładu Pasz CRS „Samopomoc Chłopska” Jabłoński — gminne spółdzielnie otrzymały zalecenie przedłużania ważności asygnat o jeden miesiąc. To odstąpienie od zasady może też mieć miejsce w indywidualnych przypadkach, gdy rolnik z jakichś innych istot-

nych przyczyn nie odebrał w terminie paszy. Chodzi bowiem o to, by w rozwoju hodowli nie następowały zakłócenia. Równocześnie i odbiorcy pasz muszą zrozumieć, że w trudnym okresie dla zabezpieczenia dostaw wszystkim potrzebującym pomocy obowiązują terminowość odboru.

Sprawę zbyt rygorystycznego potraktowania odbiorców pasz w Dąbrowie Biskupiej, bez uprzedzenia o zerwaniu z przyjętym tam zwyczajem nieprzestrzegania terminów bez względu na zapas pasz w magazynie, przekazaliśmy do rozpatrzenia i załatwienia drogą służbową przez Zakład Pasz CRS „Samopomoc Chłopska”.

b.

Jak kontraktować chmiel?

JANINA S. Z POWIATU PULAWY pisze: „Zwracam się do Was z prośbą o informację jak się rozmawia chmiel oraz gdzie i jak się go kontraktuje?”

ODPOWIADAMY:

Wszyscy zainteresowani uprawą chmielu powinni przede wszystkim wiedzieć, że jest to uprawa bardzo pracochłonna i że chmiel ma duże wymagania glebowe. Potrzebuje on gleb żyznych, niepodmokłych, zasobnych w wapń i próchnicę. Z tych też względów uprawa chmielu jest zrejonizowana w kilku środkowych województwach Polski (lubelskie, kieleckie, łódzkie, poznańskie, szczecińskie i częściowo opolskie).

Kontraktację chmielu prowadzą Lubelskie Zakłady Chmielarskie w Lublinie, ul. Wrotkowska 4, które po zbadań na miejscu warunków udzielają zgody na założenie plantacji.

Jeśli teren zostanie uznany za odpowiedni do założenia chmielnika, Zakłady Chmielarskie zawierają z zainteresowanym umowę, która przewiduje także pomoc finansową. Plantator może uzyskać na założenie plantacji do 60 tys. złotych kredytu, resztę wydat-

ków musi pokryć z własnych środków (koszt założenia 1-hektarowej plantacji wynosi około 100 tysięcy zł). Chmiel jest rośliną opłacalną. Przy zbiorze z 1 ha — 10–15 kwintali szyszek pierwszej klasy, można uzyskać do 120 tysięcy złotych. Jest to jednak, jak już zaznaczyliśmy, uprawa bardzo pracochłonna. Chmiel rozmnaża się przez sadzonki, które uzyskuje się co roku przy przycinaniu karp.



Stare polskie przysłowie głosi: że „krowa pyskiem do”. Wszystkie doświadczenia i obserwacje naukowe, a zwłaszcza praktyka tysięcy dobrych rolników potwierdziły w pełni słuszność tej zasady. Żywnienie bowiem, obok dobrego pomieszczenia i starannego pielęgnowania, ma decydujący wpływ na produkcję mleka.

Wiele praktycznych wiadomości na temat sposobów zwiększenia mleczności krow oraz poprawienia jakości mleka można znaleźć w broszurze Jerzego Sonty „WIECEJ DOBRYCH MLEK”. Autor podaje zasady i normy żywienia oraz dawki pokarmowe, zwracając szczególną uwagę na pasze pochodzące z własnego gospodarstwa.

W końcowych rozdziałach autor opisuje prawidłowe sposoby doju (ręcznego i mechanicznego) oraz postępowanie z mlekiem po udoju (cedzenie, chłodzenie, przechowywanie i transport).

Broszura wydana jest nakładem Państwowego Wydawnictwa Rolniczego i Leśnego. Kosztuje 5 złotych.

wałkowania przesypujemy ciasto mąką i przewracamy je na drugą stronę przy pomocy wałka.

Dobrze jest po wałkowaniu obsuszyć ciasto około 20 minut. Potem krajemy ciasto przesypując cienko mąką w paski 4 cm szerokości, układamy paski jeden na drugim i ostrym nożem tnijemy w poprzek na krótkie kluski (3–5 mm szerokości). Jeśli ciasto zwiniemy w rulon, otrzymamy kluski długie. Jeśli rulon pokroimy w paski 1–1,5 cm szerokości, otrzymamy la-zanki.

Pierogi składają się z ciasta i farszu. Farsze słone przygotowujemy z warzyw, mięsa, sera, grzybów itp. Farsze słodkie — z owoców i przetworów, sera na słodko itp. Pierogi ze słonym farszem stanowią zwykle danie podstawowe, ze słodkim — desery. Przygotowanie pierogów jest dość pracochłonne, ale pozwala wykorzystać resztki i stanowi danie dość tanie, a bardzo przez domowników lubiane. Farsz przygotowujemy podobnie jak do naleśników. Gdy jest zbyt suchy, utrudnia zlepienie pierogów, gdy zbyt rzadki — wycieka pomiędzy brzegi ciasta i powoduje odklejanie się pierogów podczas gotowania.

Jak już podawaliśmy, ciasto na pierogi robimy tylko z mąki i wody. Wałkujemy na grubość 2 mm, układamy kulki z farszu w odległości 5–6 cm. Przykrywamy drugim rozwałkowanym ciastem, następnie wykrawamy pierogi metalową półokrągłą foremką. Tak jest najszybciej. Kto foremki nie ma, wykrawa kwadraty, składając je po przekątnej i zalepiając brzegi palcami. Jeśli dwa różki zlepiemy ze sobą, powstają uszka (z farszem z grzybów — do barszczu, z mięsa — do rosolu). Pierogi kładzie się do wrzątku osolonego (duża ilość wody) gotując około 1–2 minut.

Spagetti gotuje się około 40 minut; splukany — nie skleja się. Cały dowcip w tym, by nie łamać laseczek. Trzeba je więc powoli układać wzdłuż brzegów garnka i związać, czekając aż zmiękną we wrzątku. Umiejętne jedzenie polega na zawijaniu spaghetti wokół widelca. Podaje się z sosami, serem, do mięs itp.

Wygodne, ale czy zdrowe?

JÓZEFA M. Z POWIATU OPATOW pisze: „W naszym domu wszyscy noszą gumowe buty. Są najwygodniejsze na błoto i nie trzeba męczyć się z ich czyszczeniem. Ale sły-szałam od znajomej, która w zeszłym roku chodziła na kurs zdrowia, że takie buty są szkodliwe dla zdrowia, szczególnie dla kobiet. Czy to prawda?”

ODPOWIADAMY:

Używanie butów gumowych, tak zwanych gumiaków, jest obecnie na wsi powszechne. Są one niedrogie, łatwe do utrzymania w czystości i praktyczne na błoto. Choć jednak mają tyle zalet, stałe noszenie gumowych butów rzeczywiście nie jest zdrowe.

Przy niskiej temperaturze, w czasie chłódów i mrozów — nogi w gumowych butach przemarzają, co jest szczególnie szkodliwe dla kobiet w okresie miesiączki oraz przy schorzeniach reumatycznych, na które cierpi wielu mieszkańców wsi.

Buty gumowe powinno się nosić tylko na dworze w czasie obrządku, czy przy innych pracach podwórzowych, nie trwających zbyt długo. Wchodząc do mieszkania należy gumaki zdjąć i włożyć obuwie domowe.

Także dzieci, które chodzą do szkoły w gumiakach, powinny zaraz po przyjeździe do szkoły zmienić je na trepy, sandały czy pantofle z materiału.

Czytelnicy piszą, przysięgiotka ODPOWIADA

Miedzy namami

ANONIMY

„Droga „Przysięgiotko”! Poradź mi co robić. Mam dwadzieścia lat i od niedawna pracuję w naszej gromadzkiej radzie narodowej. Z początku wszystko szło dobrze. Bardzo starałam się jak najlepiej wywiązać z pracy, choć nie było mi łatwo. Tym bardziej że warunki domowe mam nie najlepsze. Mieszkam u swojej siostry, u której jest i gospodarstwo, i duża rodzina, zawsze mnóstwo roboty. Wydawało mi się, że wszystko układa się dobrze, kiedy nagle zaczęło się coś zmieniać. Sekretarz do tej pory mnie chwalił, teraz dobrego słowa nie da. Koleżanka, która uważałam za bliską i życzliwą, prawie ze mną nie rozmawia.

Teraz już wiem o co chodzi.

Powiedział mi to mój chłopiec, którego właściwie uważam za narzeczonego. Dowiedział się, że sekretarz GRN otrzymuje anonimów. I w tych nie podpisanych listach ktoś donosi, że ja pracuję nieuczciwie, bo komuś z mojej wsi ułatwiłam coś tam w obowiązkowych dostawach, a głównie, że jak się to mówi — źle się prowadzę. Że w domu u siostry nocowali robotnicy, którzy elektryfikowali wieś i popijali, a nikt nie wie co ja z nimi robiłam... I tak dalej, i tak dalej. Mój chłopiec najpierw nie chciał się ze mną spotkać, ale kiedy go do tego skłoniłam, opowiedział to co słyszał. Dodał też: chyba sama rozumiesz, żeś na idiotę nie trafiła. Odwrócił się i poszedł.

Do żadnej winy się nie poczuwam. To prawda, że u siostry nocowali robotnicy. Prawda, że pił, szwagier też z nimi siedział, bo lubi zająć do kieliszka. Ale co ja, a nawet co siostra ma z tym wspólnego? Nie złego nikomu nie zrobiłam, że tak się mści. Straciłam opinię w pracy, straciłam chłopca (bo przecież za nim biegać i tłumaczyć się nie będę). Jestem w takiej rozpacz, że najchętniej odebrałabym sobie życie” — pisze **URSZULA W. Z WROCŁAWSKIEGO**.

Droga Urszulo! Jesteś młoda, musisz walczyć o swoją pozycję w pracy, wystąpić we własnej obronie. Jak? Zaraz się tym zajmujemy.

W Twojej sprawie zawiń nie tylko autor anonimów. Zawiniłi także ludzie, do których anonim był adresowany. Mądry i uczciwy człowiek prześledzi anonim nie traktując poważnie, list niszczy i przenosi nad sprawą do po-

rządka. Jeśli anonim się powtarza, jeśli zawierają poważne zarzuty, jeśli podważają uczciwość pracownika, zwierzchnik, zachowując tajemnicę — sprawdza fakty. I dopiero gdy znajdzie potwierdzenie zarzutów stawianych w anonimie, rozmawia z pracownikiem. Każdy bowiem musi mieć prawo do obrony, do wytłumaczenia się.

Sekretarz gromadzkiej rady, w której pracujesz, postąpił odwrotnie niż należało. Tyś jednak nie straciła swych praw. Radzimy Ci więc, abyś poprosiła sekretarza, by powiedział jakie stawia Ci zarzuty. Zażądaj kontroli Twojej pracy. Myślimy, że takie postępowanie pomoże Ci odzyskać zaufanie współpracowników i z czasem sprawa pójdzie w niepamięć.

A chłopiec? Gdyby Cię rzeczywiście kochał i miał do Ciebie zaufanie, nie przejąłby się plotką. Sam poprosiłby Cię o wyjaśnienie, pomógłby wybrać z trudnej sytuacji. Jaki byłby z niego w przyszłości mąż, jeśli już dziś bardziej wierzy ludziom niż Tobie?

CZARNA CZY RÓŻOWA?

„Droga „Przysięgiotko”! Mam bardzo ładną suknię, którą dostałam w paczce od ciotki z zagranicy. Suknia jest długa, różowa z koronkami. Takiej u nas nie widziałam. Bardzo chciałabym ją włożyć na zabawę, którą urządzamy u nas w świetlicy. Ale nie wiem, czy to wypada. Zabawy u nas na ogół się udają, jest porządek, ale trochę się boję, żeby w tłoku nie poszarpali mi sukni. Jeśli jej nie włożę, to będę ubrana bardzo skromnie, bo mam tylko zwykłą czarną sukienkę ze sporym dekoltem, bez rękawów” — pisze **ZOSIA W. Z POWIATU NOWOTARSKIEGO**.

Droga Zosiu! Zabawa w okresie karnawału jest okazją do włożenia nawet najstrojniejszej sukni. Jedyny warunek, żebyś się w niej dobrze czuła.

Dobre samopoczucie będziesz zaś miała wtedy, gdy po pierwsze: zabawa nie będzie się odbywała w prymitywnych warunkach, ale w porządnej, ogrzanej, dobrze oświetlonej sali; po drugie — jeśli nie będziesz obawiała się, że w tłoku podra ci koronki; po trzecie — jeśli będziesz miała dobrą do strojnej sukni dodatki. Do różowej — pantofle, mała torebeczka mogą być różowe, białe, złote. Do sukni bardzo strojnej żadnych wisiorków, naszyjników, klipsów. Nie zapomnij też o tym, że włosy muszą być odpowiednio uczesane. Jeśli się malujesz, musisz to zrobić bardzo starannie. Jeśli więc brak Ci odpowiednich pantofli, albo nie masz zaufania do swoich umiejętności fryzjerskich, dajemy Ci doskonałe wyjście: najmodniejsze są krótkie

czarne sukienki, tak zwane małe-czarne. A więc Twoja druga suknia jest jak najbardziej odpowiednia. Czarne pantofle, czarna torebka, ładny naszyjnik (bardzo modna sztuczna biżuteria) i będziesz doskonale ubrana. Na sukienkę możesz włożyć krótkie (5 cm nad talią) bolerko z lamy czy z koronki.

Lekarz odpowiada

WANDA K. Z POWIATU ŚLUPSKIEGO pisze: „Jestem tegą, dobrze wyglądam, wszysej mówią: okaz zdrowia. Niestety, to nieprawda. Cierpię bardzo na silne bóle brzucha. Trwa to już długo, męczę się coraz bardziej. Próbowałam różnych sposobów leczenia, dłuższy czas leczyłam się ziołami, które dał mi pewien ziołarz. Słyszałam, że wyleczył on wiele osób, cierpiących na bóle brzucha. Mnie nie pomógł.

Lekarze mówią, że mam kamienie żółciowe i że trzeba je usunąć. Ja chciałabym jednak uniknąć operacji. Czy to możliwe?”

Droga Czytelniczko! Lekarze powiedzieli Ci, że przyczyną dolegliwości są kamienie żółciowe i że trzeba poddać się operacji, która polega na usunięciu woreczka żółciowego wraz z kamieniami.

Niestety, niczego innego poradzić Ci nie możemy. Tylko w rzadkich wypadkach kamica żółciowa nie powoduje silnych ataków bólowych. Czasami kamienie nie dają znać o sobie w ciągu długiego okresu czasu, w takich wypadkach operacja nie jest potrzebna. Jeśli jednak dokuczają one tak bardzo, jak to się dzieje u Ciebie, wówczas nie ma innej rady. Szczególnym wskazaniem do zabiegu operacyjnego są powtarzające się żółtaczki lub stany gorączkowe, które występują w czasie napadu bólowego lub po napadzie. Nawet przestrzeganie najściślejszej diety nie pomoże. Nie ma dotychczas leków, które rozpuszczałyby kamienie żółciowe.

Ziołarz nie może wyleczyć z kamicy żółciowej. Środki stosowane przez znachorów czy „ziołarzy” często powodują poważne powikłania, nawet groźne dla życia, na przykład pęknięcie woreczka żółciowego. Radzimy więc zastosować się do zaleceń lekarza.

MARIA L. Z LUBELSKIEGO pisze: „Mój 5-letni Janek stale ma katar i bardzo często gorączkuje. Dziecko zmizerniało, nie chce jeść, jest osowiały. Prawie zupełnie nie pozwalam mu wychodzić na dwór, bo obawiam się przeziębienia i gorączki.

Lekarz twierdzi, że Janek ma zapalenie zatok bocznych nosa. W razie gorączki przepisuje penicylinę lub aspirynę. Często aspiryna pomaga, ale bywa tak, że po aspirynie gorączka wcale nie spada i trzeba wówczas stosować penicylinę albo inne leki.

Napisz „Przysięgiotko”, co zrobić, aby mój Janek na stałe pozbył się zapalenia zatok nosa?”

Droga Czytelniczko! Zapalenie zatok bocznych nosa zdarza się u dzieci bardzo często. Zwykle pogarsza się ono w okresie zimy.

Dobrze byłoby, aby dzieckiem zajął się lekarz-laryngolog. Zwykle lekarz ocenia nasilenie stanu zapalenia zatok na podstawie badania i na podstawie zdjęcia rentgenowskiego. Gdy stosowane leczenie nie pomaga, wówczas trzeba niekiedy nakłuwać zatoki, by usunąć z nich ropę. Poza tym stosuje się leczenie ogólnie wzmacniające.

Dziecko, które przebywa stale w domu, traci odporność, staje się mało zahartowane. Niewiele takiemu dziecku trzeba, aby się przeziębilo i gorączkowało. Małe dziecko nie może jednak długo przebywać na powietrzu w mroźne i wietrzne dni. Jak należy w takich wypadkach postępować, aby nie pozbawiać go świeżego powietrza i równocześnie nie narażać na przeziębienie?

Doskonały sposób, to leżakowanie w pokoju przy otwartym oknie. Dziecko leży w łóżeczku bardzo ciepło przykryte kilka godzin w ciągu dnia, a okno jest szeroko otwarte. Łóżeczko powinno być umieszczone z dala od okna. Po zamknięciu okna, gdy po pewnym czasie pokój jest znów nagrany, dziecko opuszcza swoje łóżeczko.

Porady prawne

EUFEMIA M. Z POWIATU WADOWICKIEGO pisze: „W czasie powodzi w roku 1960 zostały zniszczone kopce graniczne pomiędzy moim polem a sąsiedzkim. W nowym roku chciałabym tę sprawę załatwić tak, ażeby nie było między nami sporów. Nie wiemy kto ma zapłacić za pomiary i postawienie słupków (zdecydowaliśmy bowiem: kopców nie robić, a granicę oznaczyć słupkami).”

Droga Czytelniczko! Gdy uszkodzenie znaków granicznych nastąpiło z powodów, za które nikt nie ponosi odpowiedzialności, to koszty wzniesienia tych znaków ponoszą sąsiedzi po połowie.

Tę samą zasadę stosuje się do kosztów rozgraniczenia nieruchomości. Wynika to z przepisu art. 40 prawa rzeczowego oraz przepisów de-

kretnu z 13.IX.1946 r. o rozgraniczeniu nieruchomości (Dz. U. Nr 53, poz. 258 z późniejszymi zmianami).

AGATA L. ZE STFZELINA pisze: „Mam 62 lata i jeszcze pracuję, ale siły nie pozwalają już dorównać młodym koleżankom. Trzeba więc myśleć o rencie. Mam jednak kłopot: cały okres po wojnie (czyli prawie 17 lat) mam udokumentowany, natomiast z okresu przedwojennego, mimo że pracowałam nieprzerwanie przez prawie 20 lat, brak mi jakiegokolwiek dokumentu. Co wobec tego zrobić, żeby otrzymać rentę starczą?”

Droga Czytelniczko! Do renty starczej kobieta musi udowodnić co najmniej 20-letni okres zatrudnienia. W Twoim wypadku brak Ci dowodów pisemnych za okres około trzech lat. Trzeba więc postąpić się zeznaniami świadków. Chodzi o to, aby do Twojego wniosku o rentę załączone były zeznania co najmniej dwóch osób, które stwierdzałyby, że w pewnym okresie czasu pracowałaś. Zeznanie powinno zawierać:

1) dane personalne zeznającego (imię, nazwisko, datę urodzenia, adres, zawód, miejsce pracy lub nr pobieranej renty),

2) stwierdzenie, czy łączny świadek jakiś stosunek pokrewieństwa z osobą starającą się o rentę, a jeśli tak, to jaki,

3) oświadczenie, że zna cel, w którym składa zeznanie oraz świadomy jest odpowiedzialności karnej za złożenie fałszywych zeznań,

4) stwierdzenie okresu i miejsca pracy osoby, starającej się o rentę, jak również określenie stanowiska na którym pracowała i wymiaru czasu jej pracy,

5) wyjaśnienie, na czym oparte są stwierdzenia co do okresu zatrudnienia, (a więc wspólna praca, sąsiedztwo, znajomość itp.),

6) własnoręczny podpis.

Własnoręczność podpisu nie musi być potwierdzona przez notariusza. Może to zrobić prezydium rady narodowej albo — jeżeli świadek pracuje — jego zakład pracy.

Sprawę tę reguluje szczegółowo par. 24—26 rozporządzenia Ministra Pracy i Opieki Społecznej z 24.XI.1959 r. (Dz. U. Nr 65, poz. 393).

UWAGA, CZYTELNICY!

W związku z licznymi zapytaniami o możliwości zgłaszania się do warszawskiego Ośrodka Leczenia Epilepsji, wyjaśniamy:

1) Zgodnie z rejonizacją, ustaloną przez Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej — Ośrodek prowadzi leczenie chorych wyłącznie z terenu m. st. Warszawy. Ponadto Ośrodek zajmuje się pracą naukowo-badawczą.

2) W każdym województwie znajduje się Poradnia Przeciwpadaczkowa. Chory, u którego stwierdzono objawy epileptyczne powinien zgłosić się do takiej Poradni, na podstawie skierowania, wydanego przez miejscowego lekarza.

1 SAMA USZYJESZ NAJTANIEJ

WYKAZ osób nagrodzonych za nadesłanie 3 kuponów z ogłoszeń zamieszczonych w „Przeglądzie” nr 44/762, 45/764, 46/765 — „SAMA USZYJESZ NAJTANIEJ”.

Wody kwiatowe „Lechii” otrzymują:

1. Stanisława Białas z Warszawy, 2. Zofia Małolepsza z Konina,
3. Bożena Grochowska z Warszawy, 4. Zbigniew Ozarkiewicz z m. Lwówek Wlkp., 5. Maria Rink z Grudziądza, 6. Regina Gadzińska z Poznania, 7. Jadwiga Suchodolska ze Świecia n.W., 8. Krystyna Słupikowska z Kleszczyn, 9. Irena Fedary z Ostrzeszowa, 10. Waleria Czarny ze Skarżyska Kamiennej.

2

Albumy otrzymują:
Aniela Skotarszak z Francji,
Zofia Moge z Kanady,
Wanda Aksjonowa ze Związku Radzieckiego.

3

OGŁOSZENIA DROBNE

NAUKA

Korespondencyjne kursy księgowości organizuje Oddział Poznański Stowarzyszenia Księgowych. Informacje: Poznań, 4, skrytka pocztowa 1111. P-11

ROZNE

Dachówczarki modele: kwadratowe, łusciaste, faliste, dwufalowe, bezpłytowe, płytowe; Wulkanizatory klejące dętki, pustaczarki, gąsiornicy — najtaniej dostarczy zimą: Wytwórnia Nowobereźowa, powiat Hajnówka. 9-GP-293-1

ANSIS

wyciąg nitowy wypróbowany przed wypadaniem włosów, łupieżowi, uporczywym swędzeniem skóry — wysyła w cenie 63 — zł płatne przy odbiorze

WYTWORNIA
JOZEF MARCINKOWSKI
Warszawa, ul. Steana 41 m. 11
(podawać kolor włosów)

Dział zagadek

ARYTMOGRAF

1	2	3	4	5	6	2	7	8	2
1	9	10	11	10	11	12	10	11	7
13	14	13	9	7	15	5	4	9	14
16	8	5	8	11	12	4	17	18	1

Odgadnąć 5 wyrazów o poniższych znaczeniach i wpisać poszczególne litery do krutek znajdujących się przy każdym z wyrazów. Następnie rządami poziomymi odczytać rozwiązanie. Pamiętać przy tym należy, że jednakość liczbom odpowiadają jednakość litery.

Znaczenie wyrazów:

4 — 17 — 18 — 10 — 11 — 10 — 5 = płaski obszar bez większych wzniesień,

13 — 12 — 7 — 13 — 9 — 15 = inaczaj kajeł,

8 — 4 — 2 — 14 — 16 = materiał strzelniczy,

3 — 5 — 6 — 10 — 2 = trzęsawisko,

1 — 5 — 14 — 16 = pokrycie domu.

Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie: „Arytmograf z nr ...”

Wśród Czytelników, którzy nadesłają prawidłowe rozwiązania, rozlosowane zostaną oprócz 10 książek nagrody

Za treść ogłoszeń Redakcja nie odpowiada

Redaguje Zespół. Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa”. Redakcja: Warszawa, ul. Wiejska 18, tel. 824-11. Redaktor naczelny, tel. 805-63, z-ca redaktora naczelnego, tel. 803-49, sekretarz redakcji, tel. 838-66. Oddział w Łodzi, ul. Piotrkowska 96; oddział w Krakowie, ul. Skarbowa 4; oddział w Rzeszowie, pl. Zwycięstwa 3; oddział we Wrocławiu, ul. Podwale 63; oddział w Olsztynie, pl. Wolności 1. Ogłoszenia przyjmuje: Krajowe Wydawnictwo Czasopism, Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 824-11 oraz Powszechna Agencja Reklam, Warszawa, ul. Bagatela 14 i Poznańska 38. Wszelkich informacji w sprawie warunków prenumeraty udzielają placówki „Ruchu” i Poczty. Rekopiesów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

KOPALNIA WĘGLA KAMIENNEGO im. „1 Maja”

w WILCHWACH, pow. WODZISŁAW ŚL.

przyjmie od natychmiast do pracy na powierzchni: — kwalifikowanych maszynistów i palaczy do obsługi parowozów kopalnianych,

kwalifikowanych przetokowych ślusarzy elektryków spawaczy

Wynagrodzenie wg Zbiorowego Układu Pracy obowiązującego w przemyśle węglowym.

Jest możliwość szybkiego otrzymania mieszkania rodzinnego.

Zgłoszenia przyjmuje Dział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych.

Kosztów podróży nie zwracamy.

K-25

Swędzi? Przeczytaj

Zaczęło się od małej krostki. Drapała tę krostkę, potem następną i następną i jeszcze następną, aż do krwi. Potworzyły się ranki, ranki podchodziły ropą. Dopiero gdy sama nie mogła dać sobie z nimi rady — udała się po pomoc do lekarza. Skończyło się kilkutygodniowym leczeniem świerzbu, choroby, która mogła trwać tylko kilka dni.

Leczenie chorób skóry jest u nas, niestety, jednym z powszechnych grzechów, popełnianych wobec zdrowia swojego i bliźnich (przecież choroby skóry często są zaraźliwe!).

Tym wszystkim, którzy popełniają ów ciężki grzech, polecamy przeczytać książeczkę doc. dr T. Stepińskiego pt. „NIE LEKCEWAŻMY CHOROBY SKÓRY” (160 stron, cena 7 zł; wydawnictwo PZWL).

Książeczka przestrzega i poucza, jak postępować z naszą zewnętrzną „powłoką” w razie ropnego zakażenia, grzyba, pasożytów skóry, odparzeń i odmrożeń, chorób zawodowych skóry itd. (kar)

KURSY KREŚLEŃ TECHNICZNYCH

Naczelnej Organizacji Technicznej Warszawa 22, Przemyska 11a (Ochota) tel. 22-23-11

kształcą kreślaczy do biur projektowych i konstrukcyjnych wydziałów: maszynowy, budowlany Kurs roczny. Nauka słuchowo i korespondencyjnie. Dla pracujących nauka wieczorem.

Warunki przyjęcia: 16 lat oraz co najmniej szkół podstawowych. Informacje szczegółowe po przesłaniu 2 zł w znaczkach pocztowych. Kurs internatu nie prowadzi. P-5

Wykaz

osób poszukujących swych rodzin za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża

1. Maria Berus ur. 5.V.1944 r. c. Janiny — poszukuje ojca Józefa BERUSA.

2. Helena Błażewicz poszukuje córki Krystyny BŁAŻEWICZ ur. 3.III. 1938 r. Wiszniewo, c. Czesława i Heleny.

3. Halina Iwanicka ur. 20.XII.1942 r. poszukuje ojca Wiktora IWANICKIEGO ur. ok. 1920 r. s. Tekli.

4. Michkielda Kiel poszukuje syna Piotra KIELA ur. 27.IV.1937 r. s. Piotra i Michkieldy.

5. Stanisław Kozak ur. 8.V.1934 r. poszukuje rodziców.

6. Albert Trzyźewski ur. w 1938 r. w Poznaniu poszukuje rodziny.

1. Stefania Bojko poszukuje Tadeusza ADAMCZYKA ur. w 1942 r. s. Józefa.

2. Barbara Garczyk poszukuje syna Jerzego GARCZYKA ur. 8.XI. 1943 r. s. Kazimierza i Barbary.

UWAGA CZYTELNICY!

Uwaga czytelnicy posiadający krewnych lub znajomych za granicą!

Wobec licznych zapytań informujemy osoby zainteresowane, że prenumeratę naszego pisma ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”. Warszawa, ul. Wileza 46, nr konta PKO 1-6-100024.

Cena prenumeraty wynosi:

kwartalnie zł. 18,20
półrocznie zł. 36,40
rocznie zł. 72,80

Prenumeratę zgłoszoną do dnia 15 danego miesiąca B.K.W.Z. „Ruch” rozpoczyna realizować z dniem 1 następnego miesiąca. Ponadto B.K.W.Z. „Ruch” przyjmuje zamówienia ze zleceniem wysyłki za granicę wszystkich dzienników i czasopism ukazujących się w Polsce.

3. Antoni Gryckiewicz ur. w 1938 roku w Warszawie — poszukuje ojca Piotra GRYCKIEWICZA i matki Heleny GRYCKIEWICZ.

4. Romana Wrona poszukuje syna Jerzego WRONY ur. 4.I.1935 r., Franciszka i Romany.

5. ZBLEWSKI Janusz ur. w 1948 — poszukuje rodziny.

UWAGA: Wszystkie informacje o osobach poszukiwanych proszę kierować pod adresem: Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża, Biuro Informacji i Poszukiwań, Warszawa, ul. Mokotowska 14.

Masczka kosmetyczna „TEGEXAN 12”

zapewnia piękną młodzieńczą cerę Uniwersalna dla każdej cery. Porcja 50 g wystarcza na kilkakrotne użycie. (Cena 28 zł bez przesyłki) wysyła za załączeniem pocztowym, również pojedynczo.

Laboratorium „TEGEX” Warszawa skr. pocztowa 909.

nie jest jakieś dalekie pokrewieństwo między „pępą doskonałym”, a hi- „nadludźmi”. Włoscy filmowi niejednokrotnieępują tak, jak Lattuada wadzeniu” — to znaczy e uwagę widza mi- przeprowadzoną intryga

Przestępcy zaczynają swój plan wprowadzać w życie



sensacyjną — przemycając głębsze treści społeczne.

Z tych właśnie względów „Upro- wadzenie” jest warte obejrzenia. Tym bardziej, że jest wzorem bez- błądnej roboty reżyserskiej. Na Międzynarodowym Festiwalu w San Sebastian Lattuada uzyskał za ten film nagrodę.

Strona aktorska również nie po- zostawia nic do życzenia. Zwłaszcza młodzieńki Włoch, Thomas Milin w głównej roli zasługuje na słowa pochwały. Sekundują mu dwie Francuzki — obie bardzo dobre — Anouk Aimée i Jeanne Valerie.

Z. K.

Thomas Milin w rolach



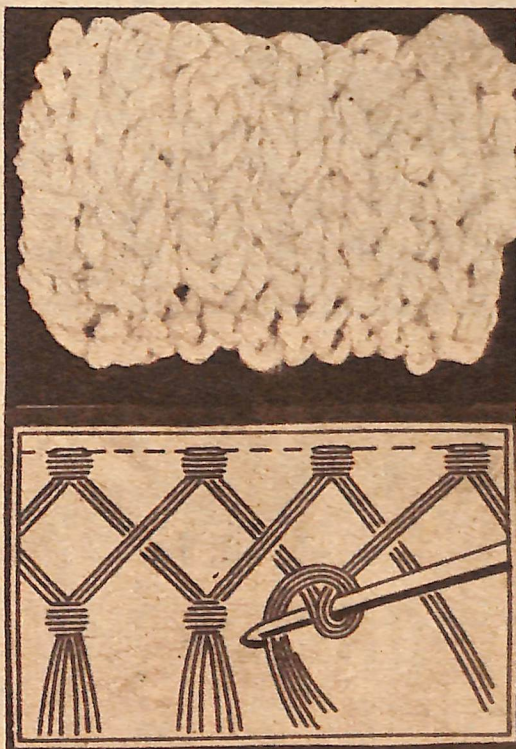
Drapacz chmur „Kavanagh” w Buenos Aires



Ogrody Palermo w Buenos Aires



Indianki nad brzegiem rzeki



SZAL 56 X 180 CM

Na wykonanie potrzeba około 60 dkg średniej grubości włóczki (kwadrat 10 cm = 14 oczkom na szerokość i 27 rzędów na wysokość), i 2 dru- ty nr 5.

Ścieg angielski. 1 rząd — 1 oczko brzegowe + 1 oczko prawe, 1 oczko zdjąć, a nitkę przerzu- cić przez prawy drut + ostatnie oczko pra- we. 2 rząd — 1 oczko brzegowe + 1 oczko ra- zem z narzuconą nitką przerobić razem na pra- wo, 1 oczko zdjąć, a nitkę przerzucić przez pra- wy drut — ostatnie oczko prawe. Wszystkie następne rzędy przerabiać jak 2 rząd.

Narzucić 80 oczek i przerobić ściegiem angiel- skim 486 rzędów = 180 cm. Wszystkie oczka zgubić w jednym rzędzie. Na kieszenie narzu- cić po 26 oczek i przerobić po 30 rzędów = 11 cm. Wszystkie oczka zgubić w jednym rzędzie.

Wykończenie. W środku, w odległości 7 cm od wąskich brzegów przyszyć niewidocznym ściegami kieszonki. Na frendzle pociąć nitki 32 cm długości i w równych odstępach po 7 ni- tek przeciągnąć za pomocą szydelka, następnie wiązać jak na rys.

Paulina Lityńska



Śzal

„Maskarada dziecięca”

Tadeusz Makowski chętnie malował dzieci. Bohaterami wielu jego obrazów są małe ludziki podobne wochę do galganekowych lalek z oczami jak paciorki, a wochę do kukielek wystyruganych z drzewa.

I na tym obrazie dzieci mają okrągłe główki, przyprowadzone nosy, zabawne maski na twarzy i dziwaczne maskaradowe stroje. W świetle papierowej latarki izba zmieniła się w zaczarowaną krainę. Wszystko, co jest na tym obrazie, niby zostało wzięte z życia, a przecież jest jakies inne. Tak, jakby artysta długo przypatrywał się zabawie dzieci, a później namalował wszystko, co zapamiętał, po swojemu. Uproszczli bardzo postaci, mocno podkreślił ich kształt i barwę, zaś przy pomocy światła i długich cieni wydobyl nasiroj tajemniczości. Jaki zawsze towarzyszy zabawie „w coś”.

Tak właśnie malował Tadeusz Makowski. I chociaż obrazy jego wypływały bezpośrednio z życia, z codziennego życia i zwykłych ludzkich spraw — posiadały swój własny kształt artystyczny, własny wyraz. Artysta ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, poezem wyjechał do Paryża — i tam już pozostał. Tworzość jego przypadała na początek XX wieku. Wśród artystów toczyły się wtedy od wielu lat zawzięte spory o to, jak malować: przez kilka stuleci istniało bowiem przekonanie, że obraz jest tym doskonalszy im wierniej odtwarza otaczający świat. Ale już pod koniec XIX w. zaczął zwyciężać pogląd, że dzieło sztuki nie może być tylko kopiorową fotografią. Z tego przekonania zrodziło się malarstwo Tadeusza Makowskiego.

Artysta wiedział, że łatwiej zyskać sławę i uznanie gdy maluje się w taki sposób, do jakiego już przyzwyczaili się ludzie. Ale czy powtarzanie stale tego samego można nazwać sztuką? Przecież artysta to twórca. Powinien więc tworzyć rzeczy nowe, własne. Nowe nie tylko w wyborze tematu, ale także w sposobie malowania, w tym, co się nazywa formą.

Wielu współczesnych nie rozumiało Makowskiego. Ale on się tym nie zrażał. Wiedział, że jego malarstwo, to sztuka przyszłości.

„Wystarczy mi — pisał w swym „pamiętniku” — jeżeli kiedyś późniejsze młode nasze pokolenie przypomni mi sobie, i oceni czyste pierwiastki malarskie, które mnie wyróżniać będą od innych malarzy”.

Przedwczesna śmierć, przerwała pracę artysty, ale pragnienie jego spełniło się. Tadeusz Makowski został uznany za jednego z najwybitniejszych twórców nowoczesnego malarstwa, a obrazy jego są podziwiane na wystawach i w muzeach.



Tadeusz Makowski